

po prostu

W NUMERZE:

ANDRZEJ SZARSKI — Bandung działa!...

ANDRZEJ WIRTH — Poezja chińska

PAWEŁ JASIEŃC — Sprawy do omówienia

WASYL ARDAMACKI — pierwszy odcinek sensacyjnej po-
wieści pt. „NIEBEZPIECZNE ŚCIEŻKI“

Nr 33 (342)

16. X. 1955

Cena 35 gr

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

Sprawy młodych naukowców (1)

LUDZIE BEZMIESZKANIOWEGO JUTRA

J. MALANOWSKI i J. TRYBUSIEWICZ

larnym dopływem prądu. Zamieszkuje
s i e d e m osób.
2. Warunki rodzinne: Pięcioro dzieci i
żona. Najstarsza córka jest studentką
UW.

3. Charakterystyka pod względem war-
tości naukowych i dydaktycznych:
Aktywna praca naukowa, dowodem czego
jest opublikowanie wielu prac nauko-
wych lub o charakterze naukowym.

Docent Tokarski habilitował się w
tych niesłychanie trudnych warun-
kach, ale czy możemy twierdzić z
czystym sumieniem, że olbrzymi
wysiłek nie dałby większych rezul-
tatów, gdyby zapewniono mu zorga-
nizowanie sobie warsztatu pracy we
własnym domu?

Casus docent Tokarski nie jest
niestety wypadkiem odosobnionym.
Warunki w jakich mieszka starszy
asystent z wydziału fiz-mat., An-
drzej Kielbasiński, nie są wcale lep-
sze. Zajmuje on wraz z żoną i dzie-
ciem kuchnię o powierzchni
11 m², z której oprócz tego korzy-
stają trzy obce rodziny. W dodatku
kuchnia posiada kamień na pod-
łogę, co bynajmniej nie wpływa
na podniesienie warunków zdro-
towych.

Starszy asystent przy Katedrze
Turkologii, Aleksander Dubiński,
zamieszkuje z żoną, dzieckiem i te-
siową w pokoju o powierzchni
9 m², bez kuchni. Mieszkanie to po-
zbawione jest pieca i wody, którą
trzeba nosić z punktu oddalonego
o 10 minut drogi.

Liczbę zacytowanych przykładów
można by, niestety, znacznie powięk-
szyć. Oczywiście nie wszyscy, któ-
rych podania leżą w komisji mieszk-
aniowej, żyją w tak tragicznych
warunkach. Fakt jednak fakt, że
większość z dwustu złożonych po-
dań zakwalifikowano jako pilne.

SMUTNA STATYSTYKA

Wzmiankowany wyżej postulat
pilności należy jednakże uważać za
rzecz nader umiarną. Od chwili roz-
poczęcia pracy w Polsce Ludowej,
Uniwersytet otrzymał od chwili
obecnej łącznie... 69 mieszkań. Lwia
część z tej niewielkiej dawki po-
szła w dodatku na potrzeby pracow-
ników przeniesionych z innych
ośrodków.

I tak np. z 42 mieszkań otrzymanych
przez Uniwersytet w latach 1945-54, 29
przysłało dla pracowników przeniesio-
nych z innych ośrodków, a tylko 13 dla sta-
łych pracowników Uniwersytetu (liczba ta nie
obejmuje Jelonki, o których osobno).
Pomijając już fakt, że tego rodzaju nie-
służna — naszym zdaniem — polityka

prowadzi do zubożenia prowincjonalnych
uczelnii o cennych fachowców (np. ostat-
nio sprowadzono 3 profesorów z Wrocła-
wia, jednej placówki uniwersyteckiej na
Ziemiach Odzyskanych) wzmacnia ona
jeszcze bardziej nasze „rodzime“ kłopoty
mieszkaniowe.

Godne uwagi jest również i to, że część
przynajmniej Uniwersytetowi mieszkań
jest z góry adresowana przez minister-
stwo dla określonych odbiorców. Wi-
docznie z wyjątkiem ministerstwa lepiej wi-
dać potrzeby mieszkaniowe uczelni.

Wobec skromnych cyfr przydzielo-
nych mieszkań imponująca wypada-
ją liczby naszych potrzeb. Około
170 rodzin (w czym 100 rodzin po-
mocniczych pracowników nauki) i
124 osoby samotne oczekuje na
mieszkania. Większość z tych osób
samotnych (około 70 osób) już dziś
nosi się z planami założenia rodzin.
Zmieni to odpowiednie cyfry w na-
szej statystyce mieszkaniowej. A cy-
fry te mówią z niedwuznaczną ja-
snością, że przy dotychczasowej ilo-
ści otrzymywanych mieszkań problem
mieszkaniowy będzie proble-
mem „wiecznym“. Pula ta bowiem
nie tylko nie rozładowuje istnieją-
cych potrzeb, ale nie pokrywa nawet
ich coraz szybszego wzrostu.

GORZKA PRAWDA

Profesor Schaff w artykule o
kształceniu młodych kadr nauko-
wych, zamieszczonym w „Przegląd-
zie Kulturalnym“ (nr 39), zwraca
uwagę na niezmiennie niepo-
kójące zjawisko ucieczki z dzied-
ziny pracy naukowej. Zjawisko to
spowodowane jest stosunkowo cięż-
kimi warunkami bytowymi młodej
kadry naukowej i niezbyt oszala-
jącymi perspektywami na przyszłość.
Ludzie, zniechęceni tym, odchodzą
do innej pracy...

„A tak być musi — konkluduje prof.
Schaff w swoim artykule — jeśli ten sam
człowiek idąc do pracy poza uczelnię
otrzyma dwukrotnie lub nawet trzykrot-
nie wyższe uposażenie i mieszkanie, a
pozostając na uczelni nie ma perspektyw
na lokum i ma perspektywę wyjątkowo
niskiego uposażenia na szereg lat. Pa-
nietażmy, że planowo kształcić kadry
naukowe licząc na abnegatów życiowych
jest co najmniej ryzykowne“.

W słowach tych kryje się gorzka
prawda. O ile bowiem samodzielny
pracownik nauki ma pewne szanse
uzyskania mieszkania, o tyle pomoc-
niczy pracownik nauki może o nim
tylko marzyć.

się do swych zajęć dydaktycznych?
A zwłaszcza gdzie ma pracować na-
ukowo, skoro nie posiada tego natu-
ralnego warsztatu pracy, jakim
jest dla każdego pracownika nauko-
wego bodaj casne, lecz własne
mieszkanie?

Pomocniczy pracownicy nauki —
to na ogół bardzo młoda kadra Uni-
wersytetu, której nie zniechęci by-
najmniej na uczelni wysokie płace
ani miraż innych korzyści mate-
rialnych. Są to na ogół ludzie, któ-
rych pociąga po prostu nauka. Nie-
którzy nie wytrzymują jednak i od-
chodzą (na przełomie lat 54—55 zre-
zygnowało z pracy z powodu trud-
nych warunków mieszkaniowych 5
osób) do innych instytucji, które za-
pewniają im zaspokojenie zasadni-
czych potrzeb, przede wszystkim
mieszkaniowych.

Odchodzą, a szkoda, bo są między
nimi i jednostki, bardzo wartościowe.

ZIEMIA OBIECANA — JELONKI

Wiadomość, że przekazane Polsce
przez rząd radziecki osiedle w Je-
lonkach zostanie przeznaczone dla
potrzeb mieszkaniowych wyższych
uczelnii — wywołała falę entuzjazmu
wśród „bezmieszkaniowych“ pra-
cowników naukowych UW. Począ-
tkowo obietnice brzmiały istotnie za-
chęcająco. UW miał otrzymać 16
domków jednorodzinnych i dwa ba-
raki, z których każdy zawiera

(uwzględniając, rzecz oczywista, ma-
ksymalną „ściśliwość“ asystentów —
po trzy osoby na pokój) miejsce na
44 osoby. Przed komisją mieszkani-
ową UW wyłoniła się na chwilę sio-
dka wizja przewzorycznego przynaj-
mniej zaspokojenia potrzeb mieszk-
aniowych, zwłaszcza samotnych mał-
żeństw bez dzieci. Rzeczywistość nie
okazała się jednak łaskawa.

Obietnicę na dwa baraki cofnięto, ofe-
rując w zamian jedynie 28 miejsc. W do-
datku ministerstwo nie zgodziło się, w
trosce o moralność studentów, aby w ba-
rakach studenckich (przy każdym takim
budynku znajdują się dwa jednoosobowe
pokoje, które mogłyby od biedy służyć
dla małżeństw) mieszkali małżeństwa.
W rezultacie małżonków „rozparcelowa-
no“ i gdy małżonkowie gdzieś w ba-
raku męskim, żona uczyniła niepo-
dobną, żona uczyniła niepo-
dobną — w żeńskim.

Tak więc Jelonki, wysniona zie-
mia obiecana, okazała się dla Uni-
wersytetu nie inną łaskawą jak zda-
wały się zapowiadać losy. Komisji
mieszkaniowej pozostały stare, zna-
ne nam już, troski.

CZYŻBY NIEPOTRZEBNA „FABRYKA“?

Niektórzy ludzie, a nawet niektó-
re czynniki cagle jeszcze traktują
Uniwersytet jako sui generis pięk-
noduchostwo. Uwidacznia się to
symptomatycznie nawet przy takiej
drobnostce jak rozdział biletów na
atrakcyjne imprezy kulturalne, któ-
rych Uniwersytet nie ma wcale nie
otrzymuje. A czy to jest naprawde
(Dokończenie na str. 6)

S. CHEŁSTOWSKI i W. GODEK

II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie

dzinnym mieście, tam mam zapew-
nione mieszkanie i „opierunek“ ro-
dzinny. Myślę, że dorobię
się i szybko“.

Na tym samym UBB staliśmy się
również samowolnymi świadkami
rozmowy między kilkoma studentami
IV r. wydz. prawa. Rozmowa doty-
czyła starszego kolegi. Miał podob-
no wyjątkowo szczęście. Oddziałowa
Organizacja Partyjna miała poważ-
ne zastrzeżenia do jego postawy
moralnej i z tego powodu nie dano
mu nakazu pracy do prokuratury,
ani do sądu. Mógł zostać we Wrocła-
wiu i jest obecnie dyrektorem ad-
ministracji w jakiejś spółdziel-
ni. Zarabia 1500 zł.

A to się chłopu udało...
To już nie są ludzie mający po 18
lat i przebywający na uczelni od
kilkun tygodni. To za rok absolwen-
ci. A czym różni się ich sposób my-
ślenia od marzeń naszego pierwsze-
go rozmówcy? Chyba tylko tym, że
jest bardziej cyniczny...

Przytaczamy te rozmowy jako
najbardziej charakterystyczne. Cha-
rakterystyczne dla mentalności du-
żej jeszcze części naszych studentów.
Trudno zresztą wymagać, aby
było inaczej. Większość młodzieży
przychodzącej na nasze uczelnie
wychowywała się w małych miast-
eczkach, wsiach, osiedlach, w śro-
dowiskach, gdzie jeszcze mocno za-
korzenione są drobnomieszczańskie
pojęcia i ideały. Kilkuletni okres
studiów powinien między innymi
politycznie i ideologicznie przygo-
tować tych ludzi do przyszłej pracy.
Tak niestety obecnie nie jest.

Popatrzmy na skutki pracy wy-
chowawczej wyższych uczelni. Po-
patrzmy jak zachowują się, jak żyją
i pracują nasi absolwenci. Pisa-
liśmy o tym w PO PROSTU już nie-
raz. Nie będziemy przytaczać zna-
nych przykładów. Obserwacje po-
czynione w kilku miastach powia-
towych i kilku większych zakła-
dach przemysłowych muszą wywo-
łać niepokój. U wielu absolwentów
nie potrafiliśmy wypełnić drobno-
mieszczańskich ideałów, nie potra-
filiśmy uczynić z nich ludzi żarli-
wych, zapalonych, ludzi, którzy
chcieliby zmieniać świat.

Gorzkie słowa „zawiedliśmy się
na ogromnej większości młodych
absolwentów“, wypowiedziane w
liście przedstawicieli społeczeństwa
olsztyńskiego do wyższych uczelni,
znajdują swe potwierdzenie nie ty-
lko na terenie Warmii i Mazur. Moż-
na by tu stronomi cytować nazwi-
ska ludzi, którzy po wyjściu z uczel-

ni nie przyznają się do tego, że byli
zetempowcami, którzy zmęczili się
pracą społeczną, którzy chcą tylko
żyć spokojnie.

Po artykule „Sądecki chor przeszk-
ód“, który opisywał te zjawiska,
otrzymaliśmy wiele listów. Pisze a-
nonimowy absolwent z Krakowa:
„Jestem kompletnym bezieowcem.
Kompletnym samotnikiem. Mam
dwadzieścia kilka lat, a nie mam
miejsca w życiu. Wydaje mi się, że
takie „typy“ jak ja są do pewnego
stopnia wytworem obecnej epoki“.
A oto drugi list z Bytoma: „Gdzie
się podziałła moja bojowość, wiara
w swoje możliwości, ideały, w któ-
re wierzyłem ślepo na uczelni? Kie-
dy dzisiaj spoglądam wstecz, nie
pozostaje mi nic innego jak liść
swoją głupotę... A teraz pełno nudy,
nudę, aż do ostepienia. Człowiek ru-
sza do pracy skoro świt niechętnie,
ogłupiały — wraca z niej jeszcze
bardziej znużony, pragnący tylko
spać i jeść. I tak codziennie. Wy-
baczenie, że ta piszę, ale żal mi lat
straconych bezowocnie. Pragnął-
bym jeszcze dziś ratować się przed
całkowitą ostepieniem. Ale brak
mi chęci, ambicji i siły, ale kierun-
ku i pomocy“.

Oczywiście, nie uogólniamy tych
wypowiedzi. Niemniej trzeba stwier-
dzić, że bardzo wielu absolwentów
mogłoby słowa autorów listów przy-
jąć za swoje.

Czy takich ludzi chcielibyśmy wy-
chowować? Dlaczego ci młodzi ludzie
nie dostrzegają w naszym życiu
problemów i spraw, o które warto
i trzeba walczyć? Dlaczego nie po-
trafią sobie uzmysłowić prostej
prawdy, że ich zadaniem nie jest
biadolenie, lecz walka?

To nieprawda, że są „wytworami
obecnej epoki“. Bo nasza epoka ro-
dzi innych ludzi, ludzi, którzy wie-
dzą czego chcą, ludzi, którzy walczą.

Prawdą natomiast jest, że ludzie
ci to drobni mieszczy-
cy, których nie potrafiła wy-
chowować uczelnia i organizacja ze-
tempowska.

W Zarządzie Uczelnianym ZMP
poznaliśmy studentkę II r. matema-
tyki. „To bojowa dziewczyna — ona
wam opowie jak pracowało jej ko-
ło“. Rozmowa z nią miała jednak
przebieg inny, niż się spodziewali-
śmy.

„Jesteście dziennikarzami? Z War-
szawy?“ — i posypał się na nas
grad pytań. O Jugosławie, o prezydent
słubny od prezydenta Eisenhowera
dla córki marszałka Żukowa, i co
(Dokończenie na str. 6)



Kajetan Sosnowski

„NASZ KOLOR — CZERWONY“

(olej) 1955

Jiri Pelikan do studentów polskich

Rada Naczelna ZSP otrzymała od Przewodniczącego Międzynarodowego Związku Studentów list następującej treści:

Droży przyjaciele!

Po dwóch tygodniach przyjaznych spotkań w czasie V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, uczestnicy powrócili już do swych krajów uwołając niezatarte wspomnienia i liczne, jakże pozytywne doświadczenia.

W różnych krajach wyniki warszawskiego spotkania młodzieży i studentów już teraz pozostawiają trwałe ślady w wielu dziedzinach życia. Uczestnicy Festiwalu opuścili Warszawę pełni jak najlepszych wspomnień o polskiej gościnności, ożywieni sympatią dla miłującego pokój narodu polskiego i pełni wrażeń z możliwości pokojowego współistnienia krajów o różnorodnych tradycjach i różnych systemach politycznych i społecznych.

Młodzież i studenci polscy, jako gospodarze Festiwalu, a bezpośrednio Wasze Zrzeszenie, ogromnie przyczynili się do zapewnienia jego sukcesu, dając poważny wkład w dzieło zachowania pokoju oraz jeszcze jeden dowód wielkiego zainteresowania sprawą międzynarodowej współpracy młodzieży świata.

Międzynarodowy Związek Studentów szczególnie docenia Wasz wkład w przygotowanie i wykonanie specjalnego programu studenckiego, który umożliwił spotkanie studentów tych samych kierunków studiów i dyskusję nad licznymi problemami z różnych dziedzin nauki i sztuki i który pozwolił im również uczestniczyć w kilku wesołych imprezach studenckich. Z radością podkreślamy pomyślne wyniki tego nowego pomysłu w programie Festiwalu.

Korzystając z okazji Międzynarodowy Związek Studentów pragnie raz jeszcze wyrazić swe gorące podziękowanie Waszemu Zrzeszeniu, młodzieży i studentom polskim, za serdeczną gościnność jaką okazali uczestnikom Festiwalu i za ofiarną pracę.

Życzymy Wam wielu sukcesów w Waszej przyszłej pracy dla dobra studentów, dobrobytu narodu polskiego i sprawy pokoju.

Szczerze Wam oddany
Jiri Pelikan
Przewodniczący MZS

kramik

Premier Danił, Hansen, przemawiając niedawno z okazji wizyty sekretarza generalnego NATO Lorda Ismaya w Kopenhadze, wystąpił z propozycją zwołania konferencji młodzieży wszystkich państw — sygnatariuszów Paktu Atlantycznego. Zdaniem premiera, konferencja taka „umożliwiłaby młodzieży nawiązanie osobistego kontaktu z kierowniczymi osobistościami NATO. Poza tym byłaby to jedna w swoim rodzaju okazja poznania się młodzieży wzajemnie, jak również sposobność dokonania wymiany opinii i doświadczeń”. Premier dodał, że koszty tej imprezy pokrywałyby za swoich uczestników rządy poszczególnych krajów.



Jak widać, politycy atlantyccy wpadają na różne pomysły, aby ratować — ostatnio poważnie nadwyżoną — koncepcję wojskowo-polityczną NATO. O tym, że młodzież duńska nie wykazuje entuzjazmu dla tego rodzaju separatystycznych narad, świadczy fakt, że rozlegają się tam coraz częściej głosy na rzecz nawiązywania kontaktów z młodzieżą ZSRR i krajów demokracji ludowej.

Jedną z organizacji młodzieżowych — Zjednoczenie Młodzieży Duńskiej — wystąpiła przed kilkoma dniami z wnioskiem o zorganizowanie w przyszłym roku festiwalu skandynawskiego, na który zaproszono delegacje młodzieży nie tylko z państw zachodnich lecz ze wszystkich krajów świata.

Studenti afrykańscy, studujący na uniwersytecie w New Delhi, zwrócili się do premiera Nehru z protestem przeciwko wprowadzeniu na ekrany filmu „Tanganika”, w



którym narody Afryki przedstawiono jako ludy „niższej rasy” nie zdolne do decydowania o swoim losie. W wyniku interwencji premiera Nehru, zakazano wyświetlania tego filmu.

We Frankfurcie nad Menem otwarto doroczne targi książkowe, w których bierze udział 1150 wystawców niemieckich i zagranicznych — łącznie z 20 krajów. Na wystawie reprezentowane są także wydawnictwa ZSRR, Czechosłowacji, Węgier, Polski i NRD. Nie bez kozery będzie, jeżeli dodamy wyjaśnienie, że inspirowana przez koła bońskie polityka zimnej wojny wobec NRD znalazła odbicie również na targach, bowiem organizatorzy ich zezwolili na wystawianie tylko wydawnictw naukowych i technicznych NRD całkowicie wykluczając beletrystykę.

Cały kiernasz, na którym zgromadzono 48.500 tytułów, w tym 12.000 nowości, obejmuje literaturę piękną, wydawnictwa młodzieżowe, naukowe, religijne, artystyczne i geograficzne. W ramach uroczystości związanych z targami pisarzowi z NRD, Hermanowi Hesse, wręczono „nagrodę pokoju”, ufundowaną przez wydawnictwa zachodnio-niemieckie.

W dniach od 3 do 5 bm. w Lipsku odbyła się międzynarodowa sesja naukowa dla spraw Dalekiego Wschodu. W sesji wzięli udział przedstawiciele 11 krajów. Dyrektor Instytutu Wschodnio-Azjatyckiego przy Uniwersytecie Lipskim, prof. dr. Enkes, oświadczył, że „dokonano tu pierwszego kroku na drodze zastąpienia dotychczasowych rozproszonych badań problematyki dalekowschodniej rzeczową, międzynarodową współpracą ludzi bez względu na ich poglądy polityczne”. Naukowcy z obu części Niemiec postanowili utworzyć wspólną komisję sinologów, która postawiłaby sobie za zadanie opracowanie przede wszystkim projektu jednolitej transkrypcji z języka chińskiego na niemiecki oraz wydawanie ogólnoniemieckiego czasopisma sinologów.

Podczas demonstracji w Viterbo (Włochy) przeciwko przybyciu wojsk amerykańskich z Austrii policja aresztowała miejscowego sekretarza federacji włoskiej młodzieży komunistycznej, Andriolo. Fakt ten wywołał protesty młodzieży w wielu zakładach pracy.

Włosko-amerykańskie towarzyswo filmowe, nakręcające we Włoszech film pt. „Wojna i pokój” według powieści Lwa Tołstoja, dla nagrania scen batalistycznych zaangażowało — za pośrednictwem podsekretarza stanu dla spraw widowskich — włoskie jednostki wojskowe.

Zaangażowani żołnierze otrzymywali specjalne wynagrodzenie, znacznie niższe, niż przewiduje to obowiązująca taryfa związkowa. Afera ta wyszła na jaw w wyniku protestu złożonego przez pracowników filmowych, którzy w związku z zaangażowaniem żołnierzy utracili pracę.

tukały agencyjne dalekopisy. Dzwoniły nerwowo redakcyjne telefony. Dziennikarze gorąco obmyślali koncepcje artykułów, parząc sobie wargi szybko dopijaną czarną kawą. Metrampaże przygotowywali na makietach miejsce na wielopiętrowe tytuły: „ZGRACMADZENIE OGÓLNE NZ POSTANOWIŁO UMIEŚCIĆ W PORZĄDKU OBRAD SPRAWĘ ALGERU. DELEGACJA FRANCUSKA ODWOŁANA Z NOWEGO JORKU. ROZBIEŻNOŚCI W NATO”.

Rano czytelnicy obiegali kioski z gazetami. Pan Dupont kupił jak zwykle „L'Information” i przeczytał w korespondencji z Nowego Jorku, pióra Geneviève Tabouis, następującą ocenę obrad Zgromadzenia ONZ, poświęconych zagadnieniu Algeru: „Posiedzenie było rzeczywiście straszne, gdyż nie chodziło o lojalną i pogodną dyskusję, ale przede wszystkim o przeprowadzenie tendencyjnego procesu, wytoczonego przez koalicję niedojrzałych jeszcze ludów wielkim krajom, w których cywilizacja i obyczaje demokratyczne mają wielowiekowe tradycje”. Czytelnik „Die Welt” dowiedział się natomiast ze swej gazety, że wyniki głosowania są potwierdzeniem

też Oswalda Spenglera, zawartych w jego książce „Untergang des Abendlandes”. „Uchwała Zgromadzenia ONZ w sprawie przedyskutowania sytuacji we francuskiej Afryce północnej — pisał „Die Welt” — oznaczała pierwszy wielki polityczny sukces bloku azjatycko-afrykańskiego, który utworzył się na Konferencji w Bandungu. Powstała nowa linia frontu między narodami, która usuwa w cień wszystkie inne bloki: po jednej stronie stoją stare mocarstwa kolonialne, po drugiej, w pierwszym rzędzie, młode narody kolonii. Kolorowa rewolucja światowa, którą przewodził Oswald Spengler znajduje się w marszu”.

Jakkolwiek nie ze wszystkich można się zgodzić w ostatnich dwóch zdaniach cytowanego komentarza, trudno nie uznać prawdziwości zdania pierwszego. Wynik głosowania nad sprawą Algeru w ONZ są bowiem niewątpliwie widocznym dowodem siły systemu stworzonego przez Bandung. Na tej sprawie warto się zatrzymać nieco dłużej.

Cała prasa światowa zgodnie podkreślała znaczenie Konferencji w Bandungu, chociaż jedni uważali ją za zjawisko nad wyraz pozytywne, drudzy — przeciwnie — za zasługujące na największe potępienie. Rze-

chodnio-niemieckie wyższe uczelnie obiegła niedawno — raczej pocztą pantoflową — nieoczekiwana wiadomość: „Chrześcijańsko-demokratyczny Związek Studentów”, będący na uniwersytetach ekspozyturą partii Adenauera, dokonał klasycznego „salto mortale”, jeżeli chodzi o stosunek do zachwaszczających życie studenckie korporacji. Dotychczas bowiem najbardziej wpływową polityczną organizację studencką — niezależnie od różnic programowych — zajmowały zgodnie zdecydowanie negatywną postawę wobec korporacji, traktując je jako szkodliwą narośl, którą należy chociażby izolować skoro nie można jej usunąć. Wprawdzie powojenny spór o stosunek do korporacji ma w Niemczech zachodnich już wieloletnią historię, jednakże przytłaczająca większość zarówno studentów, jak i profesorów, patrzyła na nie od początku niechętnym okiem. Warto tu przypomnieć chociażby konferencję rektorów 31 uniwersytetów zachodnio-niemieckich z sierpnia 1951 roku, na której przyjęto uchwałę zakazującą m. in. pojedynkowania się i urządzania publicznych hulank.

„Dzisiaj jednakże — stwierdza w obszernym artykule o uniwersytetach zachodnio-niemieckich WESER KURIER — powyższe uchwały są częstokroć łamane”, czego naczelnym przykładem jest właśnie decyzja studenckiej organizacji CDU. Jak podaje organ socjaldemokratów VORWAERTS, niedawno doszło do dyskretnego spotkania kierownictwa studenckiej chadecji z przedstawici-

ANDRZEJ SZARSKI

Bandung działa!

czywiście, trudno jest z kolonialistycznego punktu widzenia apoteozować Konferencję, na której padły słowa: „Gdzie by się tylko i kiedykolwiek w jakiejś postaci nie pojawił, kolonializm jest złem, które należy wypieścić z powierzchni ziemi”. Ta nienawiść do kolonializmu — wspólna, w zasadzie, wszystkim uczestnikom Konferencji, wynikała z dwóch źródeł: z faktu, że wszyscy uczestnicy Konferencji pamiętali ten okres w dziejach własnego kraju, gdy był on kolonią oraz z głębokiego przekonania, że istnienie kolonializmu jest nie do pogodzenia z istnieniem trwałego pokoju światowego. Prezydent Indonezji Sukarno, autor poprzednio cytowanych słów, powiedział m. in.: „Nie ma pilniejszego zadania jak zachowanie pokoju. Bez pokoju niewiele znaczy nasza niepodległość. Nie będzie miała wielkiego znaczenia odbudowa i rozbudowa naszych krajów. Nasze rewolucje nie będą mogły osiągnąć swych celów”. Konferencja w Bandungu uwidoczniła więc głęboki związek między walką wyzwolenczą narodów a walką o pokój.

Ale w toku Konferencji kolonializm nie był krytykowany tylko w ogóle abstrakcyjnej, bezosobowej postaci. „Na jakiej podstawie może ktokolwiek pogodzić się z tym — mówił premier Egiptu, Gamal Abdel Nasser — że kraje północnej Afryki, które przez wieki były niepodległymi państwami i ośrodkami wielkiej cywilizacji, obecnie ponizają się do szerebu krajów zależnych? Czy taka polityka prowadzi do pokoju i współpracy między państwami?” Sprawa Afryki północnej znalazła także odzwierciedlenie w postanowieniach Konferencji: „Wobec tego, że sytuacja w Afryce północnej jest nieuregulowana i że narodom Afryki północnej odmawia się uporczywie przysługujące im prawo do samostanowienia, Konferencja krajów Azji i Afryki oświadcza, że popiera prawo narodów Algeru, Maroka i Tunisu do samostanowienia i niezawisłości oraz wzywa rząd francuski, aby niezwłocznie uregulował ten problem w drodze pokojowej”.

O tym, że uchwały Konferencji w Bandungu nie zawierały pustych słów i głośliwych sformułowań świadczą najlepiej właśnie wyniki głosowania nad sprawą Algeru. Wszystkie kraje Bancangu, z wy-

jątkiem Turcji, która głosowała przeciw postawieniu sprawy Algeru i Abisynii, która wstrzymała się od głosu, poparły sprawę Algeru. Okazało się, że „Nieuwe Rotterdamse Courant” bardzo przeliczyła się w swych rachubach, pisząc o Konferencji w Bandungu w następujący sposób: „Zaledwie można przypuścić, aby Konferencja z tak wieloma uczestnikami i trwająca tak krótko mogła dać jakieś pozytywne rezultaty”.

Możemy stwierdzić, że wyniki głosowania nad sprawą Algeru są zwycięstwem idei Bandungu, idei, która znalazła wyraz w następujących słowach delegata Libii: „Nie wierzę, aby można było w ogóle osiągnąć pokój na świecie tak długo, jak długo jakiś kraj używa swej potęgi po to, aby narzucić swą wolę innemu krajowi i zmusić go do pracy dla swych własnych celów i egoistycznych interesów”. Słowa te, rzecz znamienne, wypowiedziane zostały w kontekście referowania zagadnień francuskiej Afryki północnej.

Poruszyliśmy tu jeden aspekt głosowania nad sprawą Algeru i jego wyników. Ale sprawa na tym się nie kończy, konsekwencje głosowania są bowiem znacznie bardziej doniosłe. Zwycięstwo Bandungu tworzy bowiem pewien precedens w ustosunkowaniu się Zgromadzenia do kwestii narodowej. Jest ono potwierdzeniem zawartych w Kartie NZ, a w praktyce nie uznawanych przez mocarstwa kolonialne słów, stwierdzających prawo narodów do samostanowienia. Przy czym trzeba być odrzucić wszelkie interpretacje, które w oparciu o formalistyczne rozumienie prawa międzynarodowego twierdzą, że wynik głosowania jest pogwałceniem tego artykułu Karty, który mówi o nieingerencji ONZ w sprawy wewnętrzne państw. Tak rozumować można tylko przyjmując, że Algierczyk jest Francuzem. Nie ma w tym artykule możliwości szczegółowego udowodnienia, że w Algerze kształtuje się naród. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że gazety, które obecnie potępiają pogwałcenie Karty NZ, niedawno w ten sposób oceniały walkę narodów Afryki północnej: „Maurowie nie są Francuzami ani z punktu widzenia historycznego, ani językowego, ani obyczajowego. O to dlaczego korzystają oni ze słabości Francji, by się wyzwolić. Jest to rewolucja o cha-

rakterze podobnym do tej, która stworzyła nasz naród w roku 1776. „Cytat” ten pochodzi z nowojorskiej „Daily Mirror”.

By w całej pełni wyjaśnić znaczenie głosowania warto posłużyć się pewną analogią. Otóż — jak wiadomo — Konferencja Genewska z 1954 roku faktycznie uznała legalny charakter walki narodowo-wyzwolenczej w Indochinach, mimo że przybrała ona postać wojny, co można rozciągnąć na inne kraje. „Układy genewskie uznały, że wojna na wyzwolenie, przez którą narody te (chodzi o narody uciskane — A. S.) realizują swe prawo do samostanowienia, jako wojna sprawiedliwa, jest — w kategoriach prawa — wojną legalną. Uznając między narodowy charakter wojny narodowo-wyzwolenczej uznały one równocześnie, że sprawy te nie mogą być traktowane jako procesy wewnętrzno-prawne metropolii czy imperium, że mocarstwa kolonialne nie mają wolnej ręki w tłumieniu i zwalczaniu ruchów narodowo-wyzwolenczych”. (Manfred Lachs: Układy Indochińskie. W-wa 1955 PWN str. 237—238). Tak jak układy genewskie uznały międzynarodowy charakter wojny narodowo-wyzwolenczej, tak i głosowanie nad sprawą Algeru uznało międzynarodowy charakter zagadnienia kolonialnego w ogóle. Taka jest druga poważna konsekwencja głosowania nad sprawą Algeru.

Warto wręczyć poświęcić chwilę uwagi rozbieżnościom w NATO, które zarysowały się w wyniku omawianego tu głosowania. Jest rzeczą charakterystyczną, że u podnóża ich leżą znowu sprzeczności między kolonizatorami a kolonizowanymi. Mianowicie, na decyzji Grecji niewątpliwie zaważyło stanowisko wielkich mocarstw kolonialnych w sprawie Cypru. Nie ma tu możliwości wdawania się w szczegóły sprawy, wystarczy stwierdzenie, że bankructwo poświęconej Cyprowi konferencji w Londynie, późniejsze ekscesy antygreckie w Turcji i nie postawienie sprawy Cypru na forum Zgromadzenia Ogólnego, spowodowały w Grecji aktywizację opinii publicznej, w obojętnej której rząd nie mógł pozwolić sobie na poparcie kolonializmu.

Tak przedstawiają się w zarysie konsekwencje jednego głosowania. Można je wyrazić krótko, w dwóch słowach: Bandung działa.

EUGENIUSZ GUZ

Chadecja kłania się korporantom

„Konwentu Niemieckich Korporacji”. Na posiedzeniu tym zawarto „młeczącą umowę” o nie przeszkadzaniu sobie wzajemnie, a według bardziej precyzyjnego wyrażenia cytowanego organu SPD, zawarto po prostu „pakt pojednania”. Zaraz po tym wydarzeniu, koła studenckie CDU zaczęły „wśród oburzonej” kołportować tezę, że „dyskryminowanie korporacji nie ma już dzisiaj racji bytu. CDU przekonana jest — czytamy — że korporacje to związki apolityczne, które stawiają sobie zgoda inne cele, aniżeli organizacje polityczne na wyższych uczelniach i dlatego nie możemy ich nadal krytykować”. Inna oficjalna argumentacja brzmi, że krytyka korporacji „nie da się pogodzić z konstytucją”.

W rzeczywistości jednak przyczyną owego „pojednania” należy szukać w zimnej, wyrachowanej kalkulacji politycznej CDU, a nie w trosce o, wątpliwe zresztą, poszanowanie konstytucji. CDU doszła mianowicie do wniosku, że krytykując korporantów traci w ten sposób poważne zaplecze wyborców pilnie przez nią poszukiwane w walce międzypartijnej o wpływy na wyższych uczelniach. Jest to zaplecze nie do pogardzenia, bowiem obecnie w Niemczech zachodnich działa 800 różnych związków korporanckich, zrzeszających 30 tysięcy członków na ogólną liczbę ponad 130 tysięcy studentów. Poza tym wiadomo, że działalność korporantów skwapliwie patronują im przedwojenni korporanci — obecnie wysoko postawione osobistości w życiu politycznym i gospodarczym. „Ci starzy panowie — jak ich określa VORWAERTS — zajmujący często w mi-

nisterstwach lub przemyśle kluczowe stanowiska — nie szczędzą korporantom poważnej pomocy materialnej”. Osobistości te nie mniej pilnie czuwają nad tym, aby ich podopieczni zagarniali już jako absolwenci wpływy w stanowiącą i synkury. Oczywiście chadecja nie chce aby odbywało się to za jej plecami, aby mur krytyki korporacji ocinał ją od tych cennych kontaktów z ustosunkowanymi politykami i przemysłowcami. Wreszcie na zmianę decyzji CDU wpłynął również nacisk elementu korporanckiego, zagnieżdżonego wewnątrz „Chrześcijańsko-demokratycznego Związku Studentów”.

Komentując wiadomość o porozumieniu z konwentem korporacji, prasa stwierdza, że fakt iż organizacje studenckie nie są już nadal jednomyślnie w swym stosunku wobec korporacji, „wpłynie na zatrucie atmosfery politycznej na wyższych uczelniach”. Oczywiście, niebezpieczeństwem ruchu korporanckiego nie należy mierzyć ilością pojedynków i burd studenckich. Zwycaja te zresztą coraz bardziej zamierają i nie one określają dziś to, co typowe dla ruchu korporanckiego. Niepokój budzi raczej fakt, że skupiony właśnie w korporacjach — najbardziej reakcyjny i tępą zarazem element — który dotychczas trzymał się bardziej na uboczu, z powodu chłodnej atmosfery otoczenia, obecnie uzyska poprzez CDU możliwość włączenia się do walki politycznej sensu stricto oraz do życia organizacyjnego uczelni. Na moment ten zwraca uwagę VORWAERTS: „Korporacje są bardzo zadowolone z powodu tej decyzji i oczekują, że droga okólna — poprzez ugrupowania polityczne CDU — zwiększą swe wpływy na uni-

wersytecie. Należy oczekiwać, że wystąpienia korporantów pod płaszczykiem CDU — nastawionych w przeważającej mierze nacjonalistycznie — spowodują na wyższych uczelniach daleko idącą zmianę orientacji w kierunku prawicy”.

Biuletyn prasowy SPD, donosząc, że od dwóch lat zaznacza się silny wzrost korporacji studenckich, informuje, iż korporanci „mają zdeklarowanie ciemną przeszłość”, a ich stosunek do demokracji parlamentarnej „jest jeszcze niejasny”. Wprawdzie amerykański tygodnik NEWSWEEK usiłuje zbagatelizować wpływ ruchu korporanckiego, jednakże podane przez tygodnik przykłady nie potwierdzają, lecz przeczą tej tezie. Na uniwersytecie w Monachium na przykład, na ogólną liczbę 11 tysięcy studentów, do korporacji należą, według tygodnika, „zaledwie” 3 tysiące studentów. My byśmy raczej napisali „aż” 3 tysiące studentów. Konkluza artykułu NEWSWEEK jest jednak mniej optymistyczna: „Z demokratycznego punktu widzenia obraz przedstawia się niezupełnie różowo. Błędnie ostatnio doniesienia o odradaniu się zwyczajowi pojedynków na uniwersytecie w Muenster. Studenci biorą czynny udział w działalności neohitlerowskiej organizacji Stahlhelm”.

O rosnących wpływach korporacji świadczy między innymi fakt, że w samorządach studenckich („ASTA” — odpowiednik naszej B. Bratniej Pomocy) korporacje odgrywają już poważną rolę. Mimo iż zrzeszają one 20% ogółu studentów, dysponują 50% miejsc w zarządach smorządów studenckich. Dzieje się tak m. in. „z powodu obojętności lub braku aktywności ze strony większości”.

O „zapomnianych” sprzecznościach

BYL okres, kiedy na szpaltach naszych gazet ciągle pisało o „sprzecznościach imperialistycznych”. Co drugi, trzeci artykuł o tematyce międzynarodowej pokazywał sprzeczności polityczne anglo-amerykańskie na Dalekim Wschodzie, antagonizmy handlowe niemiecko-brytyjskie w Ameryce Łacińskiej itd. Podobnie słuchaczy prasówek i referatów obficie karmiono najrozmaitszymi komentarzami o „pogłębiających się sprzecznościach” i „wzmagających się antagonizmach”. W rezultacie przeciętny powiedzmy... ZMP-owiec spodziewał się, że lada dzień cały ten zgnity świat kapitalistyczny, podminowany wewnętrznie, trach...! i z wielkim hukiem zawali się.

Przesadzam? Owszem, ale tylko trochę. Dobrze pamiętam czasy „zamówienia społecznego” na sprzeczności.

— „Dlaczego towarzyszu nie napisałeś jakiegoś mocnego felietonu o sprzecznościach anglo-amerykańskich?”

— „...w tej chwili trudno o coś konkretnego zahaczyć, dlatego myślałem...”

— „Może chcecie przez to powiedzieć, że harmonia panuje w świecie kapitalistycznym, co?”

A dziś? Sezon wymaga „ducha Genewy”. O „sprzecznościach” jakoś zapomniano. Może jest ich mniej aniżeli przedtem? Skądże, nawet więcej. Weźmy na przykład wypadki w Afryce północnej. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że sprawa jest jasna. Po jednej stronie: narody Maroka, Algieru i Tunisu, których słusne aspiracje cieszą się poparciem obozu pokoju, krajów Afryki i Azji i całej postępowej ludzkości. Po drugiej: imperializm francuski popierany w pełni przez Anglię, USA, Holandię i inne mocarstwa kolonialne. A w rzeczywistości? Nie trzeba szukać daleko, aby zauważyć że stanowisko USA jest przynajmniej dwuznaczne. Już przy głosowaniu w

ONZ nad sprawą Algieru doszło do prawdziwej niespodzianki: Stany Zjednoczone głosowały razem z Francją, natomiast takie marionetki Waszyngtonu jak Costa-Rica, Filipiny, lub Gwatemala głosowały przeciw! Tylko naiwny obserwator mógłby przypuszczać, że USA były zaskoczone tym głosowaniem i że ten nagły zryw samodzielnosci „republik bananowych” — jak się wyraził pewien burżuazyjny dziennikarz francuski — nie był uzgodniony. Jeżeli do tego dodamy, że broń partyzan-tów marokańskich, jak to kilkakrotnie podała prasa francuska, pochodzi z Maroka hiszpańskiego (a nie jest chyba tajemnicą, że broń hiszpańska nosi markę „made in USA”) staje się jasne jak to Amerykanie „pomagają” Francji. Wujek Sam raz jeszcze umiejętnie podstawił nogę Mariannie. Ma ochotę zająć miejsce Francji w Afryce północnej, tak, jak to czyni w Wietnamie Południowym.

Drugi przykład: stosunki anglo-amerykańskie. Ostatnio odbyła się w Istambule roczna sesja Międzynarodowego Banku dla Odbudowy i Rozwoju. Na ogół zebrania te nie są zbyt pasjonujące, tym razem jednak zaszło coś nieoczekiwanego. Delegat Wielkiej Brytanii, którym był sam pan Butler — Chancellor of the Exchequer, druga osoba w rządzie po premierze Edenie, ostro zaatakował politykę handlową Stanów Zjednoczonych, które nie dość, że nie pozwalają Anglii handlować ze Wschodem, ale same u Anglików nie chcą kupować! Butler dodał, że jeżeli nie dojdzie do zmiany w tej dziedzinie, Anglia zmuszona będzie przystąpić do „bolesnej rewizji” (agonising reappraisal) swojej polityki. Typowe dla angielskiej ironii — i widocznie dla zmieniającego się układu sił — jest to, że minister brytyjski używał tego samego zwrotu (agonising reappraisal) którym Dulles straszył Anglię i Francję kiedy stała sprawa EVO i później układów paryskich. Wtedy to pan Dulles groził, że o ile parlamenty tych państw nie zaakceptują remilitaryzacji Niemiec zach., Ameryka będzie zmuszona do „bolesnej re-

wizji” swojej polityki wobec Francji i Anglii.

Jako ostatni przykład chciałbym przypomnieć artykuł „Daily Telegraph” (opublikowany w naszej prasie) pod tytułem „Co się dzieje z NATO”, w którym konserwatywny dziennik ubolewa nad „licznymi kłótniami” w bloku atlantyckim.

Jak widać sprzeczności, jak były, tak są, a nawet — ażeby użyć ulubionego dawniej zwrotu — pogłębiają się. Dlaczego więc publicystyka nasza prawie całkowicie pomija tę problematykę? Czy to w imię „ducha Genewy”?

Ciekawe jest śledzenie, jak propaganda zachodnia, która niestety, w wielu wypadkach nie zrezygnowała z „zimnej wojny”, zwalcza „ducha Genewy”.

Zdając sobie sprawę, że nie można otwarcie, frontalnie atakować wyników Genewy, stara się ona przedstawiać je jako niebezpieczne dla jedności Zachodu. Sugeruje, że Genewa służy ZSRR, jako instrument do rozbicia sojuszu atlantyckiego. BBC (Home Service) ostatnio dał kilka komentarzy na ten temat. Jeden z nich przypominający niepowodzenia londyńskiej konferencji w sprawie Cypru, kłótnie między Grecją i Turcją, trudności Francji w Afryce północnej, dodaje, że wszystkie te sytuacje zrodziły się po Genewie i mogą być korzystne tylko dla Rosjan.

I dalej: „Czy to z powodu Genewy, czy też nie, jest jednak rzeczą zmienną, jak szerokie są rysy, które pojawiły się w sojuszu zachodnim”.

Nam widać, autor nie mówi wprost, że Genewa zrodziła ruch

narodowo-wyzwoleńczy w Maroku, lub angielskie kłopoty na Cyprze — byłoby to zbyt ciężkie do połknięcia dla przeciętnego Anglika — ale daje on do zrozumienia, że tak być może.

Kłamliwa propaganda zawsze opierała się na insynuacji, a nie na argumentacji, ale mniejsza o to. Ważne jest to, że obecnie propagandziści zimnej wojny usiłują sugerować, że winę za ruchy narodowo-wyzwoleńcze, za sprzeczności imperialistyczne — ponosi polityka ZSRR, „duch Genewy” itd. Nie jest to zresztą nowa teza. Uzupełnia ona właściwie argumenty tych, którzy twierdzą, że pokojowe współistnienie między Zachodem i Wschodem nie będzie możliwe dopóty, dopóki ZSRR nie „rozwiąże” partii marksistowskich na Zachodzie! Cóż z tego, że partie marksistowskie, tak samo jak antagonizmy imperialistyczne i ruchy narodowo-wyzwoleńcze, istniały długo przed powstaniem Kraju Rad (i na pewno przed Genewą!).

Czy nie warto więc polemizować z fałszowaną, bzdurną argumentacją niektórych mężów stanu i publicystów Zachodu właśnie z punktu widzenia Genewy — wykazać np. że próby zwalczania „ducha Genewy” z tych pozycji są oszukiwaniem opinii publicznej? Chciałbym być dobrze zrozumiany. Sytuacja międzynarodowa zmienia się, a razem z nią wymagania propagandy i agitacji. Jasne. Język po Genewie nie może być taki sam jak przed tym, i nie tylko język ale także ciężar gatunkowy tematów. Zgoda. Wydaje mi się jednak, że tak jak było niedobrze, kiedy publikowano artykuły o sprzecznościach „na kilogramy”, jest również źle, kiedy, mimo iż samo życie narzuca tematy, publicystyka nasza milczy. Nie oświełając rzeczywistości w całej jej złożoności, kształtujemy sady schematyczne, ograniczone — więc fałszywe.

WIKTOR

List do Redakcji

Nie mylić kolektywu z chórem...

EUGENIA SIEMASZKIEWICZ

JESTEM absolwentką wydziału filologii (rusycystyka) i po pięciu latach studiów (3 pierwsze we Wrocławiu, 2 w Warszawie) opuściłam uczelnię z poczuciem dużego niedosytu, ze świadomością, że zawsze i wszędzie chwalono „studenckie lata” nie dając mi tego co chyba mogły i powinny być dać. W życiu akademickim była luka, którą obecnie dość boleśnie odczuwam.

Chodzi mi mianowicie o to co w moim pojęciu było i jest warunkiem pewnej „pełności” uniwersyteckiego życia — o studencki kolektyw.

Dziwnie bowiem rzeczy nazywano tym pięknym imieniem za moich „młodych lat”.

Kiedy rozpoczynałam studia byłam bardzo świeżo upieczoną „zwolenniczką materialistycznego poglądu na świat” i z kim się tylko dało, chciał ktoś, czy nie chciał, prowadziłam niezmiernie długie i gwałtowne dyskusje, w których zdecydowanie i twardo trzymałam się „marksistowskiego punktu widzenia”. Nie trzeba chyba dodawać, że pojęcie o marksizmie miałam bardzo a bardzo zielone, ale nadbrałam to jak się dało niefałszowaną dobrą wolą. Uniwersytet wyobrażałam sobie jako jedną wielką batalię ni mniej ni więcej tylko o zdobycie świata, jako miejsce, gdzie się człowiek napyskuje do syta na filozoficzno-ogólnoludzkie tematy. Kolektyw studencki był w moim pojęciu grupą ludzi, którym się usta nie zamykają, tyle mają do powiedzenia we wszystkich sprawach nieba i ziemi.

Konfrontowanie tzw. „marzeń” z rzeczywistością jest na ogół czynnością nieprzyjemną i patetyczną. Tym razem jednak nie da się go uniknąć. Jak się rzekło, zaczęłam studiować we Wrocławiu.

Ze my, studenci, musimy stworzyć „zgrany kolektyw”, o tym powiedziano nam zaraz na pierwszym zebraniu i to bardzo stanowczo. Do roboty zabrano się tutaj przede wszystkim ZMP i to tak rażno, że do dziś nie mogę się otrząsnąć z różnych wrażeń tego okresu. Nie mam zbyt dobrej pamięci szczegółów i być może pomyłę kolejność — w każdym bądź razie w ciągu trzech lat w zmontowaniu kolektywu miały radykalnie pomóc: chór, siatkówka, wieczorki taneczne, wycieczki za miasto i wspólna nauka (czyt. wspólne kucie do egzaminów).

Zeby uniknąć nieporozumień: ja tych wszystkich „prostych ale zdrowych” sposobów zbliżenia ludzi (zwłaszcza na początku kiedy się jeszcze nie znają) nie neguję, nie zwalczam i nie wyśmiewam. Doskonale rozumiem, że w ten sposób można i należy zaczynać, byle tylko na tym nie kończyć.

Dzięki wyżej wymienionym metodom okres „kolektywizacji” wylądował w mojej pamięci jako okres nieustannych konfliktów z kolegami. „dojrzałymi politycznie”. Przede wszystkim chór. Chór unieszczęśliwiał mnie przez dobre dwa lata. Ani brak głosu, ani słuchu nie były argumentem dla zażartych łowców dusz młodzieży, jakimi byli w swoim mnie-



W Maroku i Algierze popłynęła krew. Przeciw manifestantom rzucono wzmocnione oddziały piechoty wojsk „anceraych i lotnictwa. Dzisiaj problem tych krajów wyszedł już poza ramy „wewnętrznych” spraw Francji”.

manlu wszyscy bez wyjątku aktywiści naszej grupy. Postanowiono rozśpiewać mnie za wszelką cenę i świecie wierzono, że dzięki regularnemu uczęszczaniu na próby pozbędę się wszystkich inteligentnych obciążeń jakie tylko mi przypisywano. Kiedy ten szatański sprytny sposób zawiodł, udzielono mi kolejnego upomnienia i moje biedne „obciążenie” zaczęło zwalczać zlecając mi od czasu do czasu różne prace społeczne w rodzaju wycinania z kartonu liter, z których następnie cały rozśpiewany kolektyw układał różne budujące hasła. Linia „walki klasowej” przebiegała w grupie między tymi co hasła wycinali wytrwale i chętnie a tymi, którzy uważali te metody oddziaływania na ludzką świadomość za bardziej godne przedszkola niż uniwersytetu... Wszelkie próby skierowania uwagi organizacji choćby na problem drobnomieszczaństwa w jej nieraz najbardziej „uświadamionych” szeregach budziły tylko słabo maskowaną frazesami niechęć zarządu wydziałowego. Ubożuchna w treści była również gazetka uniwersytecka zamująca się gorącą sprawą przodowników nauki i bumelan-tów, ale ignorująca niemal zupełnie sprawy daleko bardziej poważne.

Czy nie było u nas dyskusji? Ależ były. Wchodziły nawet w plany pracy wszystkich naszych zarządów. Robiło się to tak: po sprawdzeniu obecności wstawał jeden i wygłaszał komunal w stylu: książka radziecka uczy i wychowuje. Następni dyskutanci powtarzali mniej więcej to samo „swoimi słowami”, oczywiście nie wskazując na to, że dyskusję tę prowadzili filolodzy, ludzie ponieważ z urzędu zobowiązani do głębszej i poważniejszej analizy. Poza tym były te dyskusje niesamowicie wazeliniarskie i z niczych ust nie padły nigdy słowa: lakiernictwo, czy schematyzm. Wszystko tam tylko „uczyło i wychowywało”, choć „prywatnie” właśnie odwrotne sady były na porządku dziennym. „Publicznie” — wszelkie próby ściągnięcia powieści z koturnów były raz na zawsze określone jako inteligencjnie, antyproletariackie kręcenie nosem.

Może tu paść pytanie: jeśli młodzież nie chciała dyskutować szczerze to cóż temu winna organizacja? Ale to skąd inąd bystre spostrzeżenie traci na wartości przez prosty fakt, że studenci (a przynajmniej wielu z nich) chcieli dyskutować (przynajmniej na początku). Było też trochę tych dyskusji „prywatnie”, ale organizacja zrobiła wszystko, co w jej mocy by nie dać się im rozwinąć, by zepchnąć je na margines życia studenckiego, czyniąc z nich półlegalną domenę kilku „zatwardziałych inteligentów”. Nie zrobiono nic, by własnie na tej „niebezpiecznej” płaszczyźnie szukać z ludźmi porozumienia, by przy jej pomocy sprawować „rząd dusz”. Rzecz jasna, że wyłaziły wówczas na wierzch bardzo wiele sprzeczności, ale możliwość konfrontacji przekonań i szczerej wymiany zdań stworzyłaby atmosferę bardziej sprzyjającą pogłębieniu wiedzy, niż obficie porozlepiane na ścianach hasła własnej roboty (ale odgórnego pomysłu), atmosferę, w której zamiast taniutkiego cynizmu i inte-

lektualnego (tego „zwykłego” zresztą też) karierowiczostwa powstawałyby może przekonania. I może nie zdarzyłyby się wówczas fakt, że jeden z wielkich działaczy wydziałowych, aktywista i materialista całą gębą (dosłownie) zgodził się (na prośbę rodziców narzeczonej) wziąć ślub kościelny, byleby... gdzieś na prowincji i po cichu.

Życie studenta odintelektualizowanego do granic ostatecznych. Odintelektualizowano nasze współzycie jako kolektywu, sprowadzając je na płaszczyznę niemal wyłącznie towarzysko-zebraniową, odintelektualizowano nasze zainteresowania społeczne (pod ręką były doskonałe działające schematy) odintelektualizowano (bo przy dobrej woli i to można) wszystkie problemy światopoglądowe. Zdając sobie sprawę, że stwierdzenie tego rodzaju tezm jak paradoks, ale... jak inaczej nazwać brak dyskusji tam, gdzie byli ludzie uważający się za marksistów i ludzie uważający się za katolików — ramię przy ramieniu „wyrabiający się społecznie” śpiewaniem w chórze?

Nie mam pretensji, że niektórzy aktywiści ZMP byli wierzące i praktykujące. Szanując cudze przekonania — byle były nimi naprawdę. Ale nie wyobrażam sobie ani marksisty ani katolika, których bagaż intelektualny pozostaje na uniwersytecie taki sam jak w pierwszej gimnazjalnej. A w dodatku na taką sytuację organizacja zetemowska reaguje... stwierdzeniem, że grupa filologii rosyjskiej jest najbardziej „bojowa”, bo jej chor i recytacje obsługują multum przeróżnych akademii, bo urządziła ona zbiorowe pojszcia do kina itp.

Jak odbijało się to wszystko na studenckim kolektywie? A tak, że wprawdzie siedzieliśmy obok siebie w kinie, ale jednocześnie byliśmy sobie bardzo dalecy. I guzik pomagało, że uczylimy się w kółkach i kółeczkach, że zdawaliśmy egzaminy i mieliśmy w indeksach imponującą ilość piątek, że byliśmy niesłychanie pilni i odrabialiśmy wspólnie wszystko, co „było zadane” (ale bądźcie spokojni: ani linijki więcej). Kiedy teraz zadaje sobie pytanie, czy przy tym wszystkim znalazł się — muszę odpowiedzieć: nie — właściwie — nie.

Można się było u nas o tym czy owym kolecie dowiedzieć wszystkiego: co robi poza wykładami, z kim flirtuje, czy sam ceruje sobie skarpetki i nawet jak jest „notowany” w organizacji; jednego się tylko człowiek nie mógł za skarby dopytać: jak facet myśli i czy w ogóle myśli. Tej najważniejszej według mego skromnego mniemania rzeczy nie wiedzieliśmy o sobie, i dlatego rozlecieliśmy się niesamowicie łatwo. Skończył się pierwszy stopień studiów (kurs magisterski w Warszawie wyglądał już odrobnie lepiej) i okazało się, że nic nas, o grozio, właściwie razem, jako grupy, nie wiąże. Wprawdzie „przyjaźnił się” ze sobą, grup i grupek zapraszających się nawzajem na imieniny było aż nadto, mówiliśmy o sobie na ogół życzliwie, ale to wszy-

(Dokończenie na str. 7)



**nasza
wystawa**

**MARIA TATARCZUCH
WARSZAWA**

**Absolwentka Akademii
Sztuk Plastycznych
w Warszawie**

Feliks Dzierżyński

**Portret
Jarosława Iwaszkiewicza**



Zwątpienie

PĄŻYBYŁEM z daleka. Wiosenny las zieleniał. Wśród wysokich pní dostrzegłem przecięty dawniej długi i szeroki trakt, porastający młodymi drzewami. Wolnym sosen pasmem zwiru biegły niegdyś szyny kolejowe. Teraz tylko zielisko wegetowało w zagłębieniach. Idąc potykałem się o kamienie.

Zza zakrętu wyszedł przygarbiony człowiek ubrany w zniszczony mundur kolejowy. Zaczęliśmy rozmawiać.

Gdy spytałem dlaczego nie odbudowują linii po zniszczeniach wojennych, wymamrotał niechętnie: — Wojna toru nie zniszczyła. To było tak....

I opowiedział mi całą historię. Przed wielu laty zaniedbane pobliskie miasto domagało się połączenia ze światem. Postanowiono więc zbudować „żelazną drogę“, jak ją z rosyjska nazywał.

Zaczęto przyjmować do pracy. Mój rozmówca zgłosił się pierwszy i odtąd robił już na kolei. Trudności były duże. Wycinali las — przyduśilo człowieka; stawiali most

— podchodziła woda; przekopywali górę — to piach się obsunął cholernie. Ale swojego dokonali i miasto odetchnęło. Potem dostał stałą pracę. W czerwonym domku przy torze przemieszczał całe życie. Chwalili dawne czasy. Dobrze mu było.

Na obecne narzekał. Tory rozebrano i położono gdzie indziej. Nawet nie słyszał jak pociąg jedzie. Dom dostał na dożywocie. Ale dom nie stoi przy drodze do miasta. Jak umrze, rozbiorą. Tylko młody las zostanie w starym miejscu.

Gdy usiłowałem się dowiedzieć o przyczynę przeobrażeń, obruszył się i powiedział: Akurat idzie moja wnuczka. Ona panu lepiej wyjaśni bo uczona.

Pewnym krokiem zbliżyła się do nas dziewczyna w mundurze. Okazało się, że ukończyła technikum kolejowe.

Wiedziała wszystko.

Zburzyliśmy starą drogę, — mówiła — bo przeszkadzała miastu rozwijać hutę. Przechodziła tam gdzie miał stanąć wielki piec. Wytoczyliśmy nową, dużo lepszą. Nie

trzeba jej będzie nigdy przenieść. Tutaj posadziliśmy drzewa na miejsce wyciętych. — Pokażę panu drogę — zachęcała — przy tej tylko dziadek pozostał.

Staruszek miał łzy w oczach. Przywiązał się do żelaznej drogi. Nie wierzył, by zaważała. Nie widział rosnącego lasu.

Skrótami przeszliśmy do nowej trasy.

Młoda entuzjastka opowiadała jak przekopywali z trudem górę, zwalczając osuwający się piasek. Przy wycinaniu lasu padające drzewo zabiło nawet jej kolegę.

— Ale linia jest teraz dwutorowa — stara miała tylko jeden — chwaliła pogodnie własną pracę.

— Miasto żyje lepiej niż dawniej, dziadku — żartowała.

Milczałem urzeczony radością dziewczyny.

Nagle zapytałem: — Czy potrafi pan ocalić swoją radość, gdy i ta droga okaże się zbędna?

Nie otrzymałem nigdy odpowiedzi,

JANUSZ MAJEWSKI

Śmierć psa

mu przystanąć. Nie schodząc ze stopni samochodu, obejrzał trupa, po czym zatrzasnął drzwi i pojechał. Nie lubił takich widoków i nie chciało mu się wychodzić — wrzucił ramionami. Za chwilę zapomniał o całym zajściu.

Dziewczynka miała 7 lat, krótkie warkocze i bladą cerę. Wypadek obserwowała z okna, była sama w mieszkaniu na drugim piętrze. Psa widziała już na kilkanaście minut przedtem — podobał się jej jego śmieszny pysk, łaciaty

grzbiet i wesoły, taneczny chód. Nazwała go sobie „Misiem“, i wołała cichutko, przytulając twarz do szyby: „Misiu, Misiu...“. Kiedy nadjechało auto, krzyknęła rozpaczliwie i zaraz umilkła przerażona. Stała nieporuszona, z rozszerzonymi niebieskimi oczami, załamując małutkie ręce. Dopiero kiedy motorniczyci odciągał psa na trawnik, wzbuchła długim, żalonym płaczem. W nocy miała gorączkę, majaczyła i wołała psa, nazywając go tym wymyślonym, naiwnym imieniem.

RYSZARD LASSOTA

W sobotę, około godziny 10 rano, ciężarowy samochód z przyczepką, jadący ulicą Południową miasta L., przejechał psa.

Pies był rasy nieokreślonej, niewielki, sierść miała czarno-brązową, ogon długi i zakręcony. Został zabity przypuszczalnie już pierwszym uderzeniem maski samochodu. Upadł z krótkim skowitem, koła zmiążdżyły mu kręgosłup. Leżał na torze tramwajowym. Motorniczy pierwszego tramwaju, który nadjechał po wypadku, odciągnął zwłoki na trawinę. Krew wyznaczyła cienką drożkę na bruku.

Bezpośrednimi świadkami wypadku, oprócz kierowcy samochodu, byli: dziewczynka, staruszek i mężczyzna na rowerze (były żołnierzy).

Szofer ciężarówki w pierwszym momencie sądził, że pies jednak zdołał uciec spod kół, ale lekki wstrząs na gładkiej nawierzchni ulicy kazał

RYSZARD LASSOTA

Na temat pomysłu kabaretu

List dyskusyjny

Drogi Tomku!

Podczas naszego ostatniego spotkania, kilka dni temu, opowiadałeś o projektach stworzenia młodzieżowej kawiarni z danciem i programem artystycznym. Mówiłeś też, że inicjatywa otwarcia takiego lokalu, jak go nazwałeś — kabaretu, znalazła też poparcie władz ZMP-owskich. Poparcie to niestety wyrażało się jedynie w uścisiku dłoni i obietnicy kolektynowego przedyskutowania ewentualnego programu...

Pytałeś, czy nie przystałbym do grupy entuzjastów pragnących stworzenia takiej estrady satyrycznej, nie dysponującej pieniędzmi na teksty, dekoracje, aktorów, reklamę, słowem „rozkręcenie się“. Prosiłeś bym się zastanowił czy nie mam jakichś skeczów, tekstów, pomysłów godnych wykorzystania.

Owszem. Mam. Nawet dosyć dużo. Mogłbym Cię chętnie odwiedzić w domu lub zaprosić na szarlotkę do kawiarni i wszystko szczegółowo wytłumaczyć. Wolę jednak zrobić to publicznie. Zaproszę do dyskusji tych wszystkich, których interesuje sprawa młodzieżowego kabaretu — kawiarni, dancingu w kulturalnym otoczeniu, Estrady Debiutów — słowem klubu młodzieżowego. A interesuje, zdaje się, bardzo wielu. Stąd trzeba im dać prawo proponowania, prawo upominania się o pewne rzeczy.

W SPRAWIE MARZENIA

Wrzucił mnie w filmie „Płkność noc“ pośpiech, z jakim ubogi nauczyciel muzyki zrzuca podarte buty i wskazuje do łóżka — aby śnić. Łóżko natychmiast zamienia się w wehikuł, który wiezie bohatera w srebrno-złotą krainę marzeń, gdzie wszystko jest możliwe. Pozwól, że i ja tu zdejdnę na chwilę, że tak powiem, podarte buty rzeczywistości i spróbuję pomarzyć.

Posłuchaj, Tomku: nie masz nic. Zezwolen, poparcia, przychylności, zrozumienia, pieniędzy, lokalu, pomocy w sprawie tak oczywiście słusznej i prostej. Tyle samo będziesz miał jeśli sprawa będzie trochę bardziej skomplikowana. Proponuję mianowicie, aby odtąd walczyć nie o kawiarnię z estradą satyryczną (kabaret, jak mówisz), lecz o klub

W SPRAWIE RZECZYWISTOŚCI

Wracając do rzeczywistości: wiem, że takie „wziąć się do roboty“ nie będzie łatwe ale perspektywy realizacji takiego klubu są przecież równie pogmatwane organizacyjnie i technicznie jak i perspektywy realizowania samej tylko scenki młodzieżowego kabaretu.

A teraz sprawa jak najbardziej z krainy rzeczywistości: w dużej mie-

rze nieufność wobec lokali młodzieżowych w Warszawie jest uzasadniona. Uzasadniona słuszną kłopotą jaką poniósł ten pomysł w warszawskiej kawiarni „Stylowa“. Tabliczki z napisem „Kawiarnia młodzieżowa“ — pijani chuligani powybijali wraz z szybami. Do dziś, przez wiele już miesięcy, kawiarnia leczy rany finansowe i materialne po niesławnym okresie „młodzieżowym“.

Uniknąć podobnej porażki można w przyszłości w sposób dość prosty: organizatorzy muszą dbać o stworzony przez siebie lokal. Centralny Zarząd Przemysłu Gastronomicznego, ani dyrekcja „Stylowej“ mimo wielokrotnych interwencji nie uzyskały żadnej pomocy ze strony organizatorów. W fatalną atmosferę „Stylowej“ nie wniknęły władze ZMP-owskie. To się w przyszłości nie może powtórzyć.

Inna jest sprawa, że kierownicy lokali gastronomicznych nie bardzo wierzą w energię i przeźność organizacji młodzieżowych, które małyby jako opiekunowie lokalu ująć w karby element chuligański, jaki niewątpliwie kręci się tam, gdzie występuje orkiestra taneczna.

PIERWSZE GŁOSY W DYSKUSJI

Rozmawiając ostatnio na różne tematy z rozmaitymi ludźmi, zasięgałem ich opinii na temat takiego „klubu młodzieżowego. Posłuchaj co „p. mowi tow. Kujawski v-dyr. „Europy“:

— Chętnie podjęlibyśmy podobny eksperyment z lokalem młodzieżowym, gdyby organizatorzy zapewnili nam trzy rzeczy: odpowiedni poziom programu artystycznego, opiekę nad lokalem by nie powiódł historyi „Stylowej“ i — najważniejsze — pokrycie strat wynikających z braku obrotu. Plan obrotu mamy wysoki. Gdy go nie wykonamy — pracownicy nie otrzymają premii. Pozbawieni premii — odjadą nasi kuchmistrze, kelnerzy etc. A z deficytem przy takim młodzieżowym klubie trzeba się liczyć. Naturalnie mowy też nie ma o zapłaconiu przez nas tekstów czy wykonawców kabaretu...

Przytaczam Ci, Tomku, tę rozmowę w odpowiedzi na plany tworzenia takiego klubu w oparciu o kawiarnię, jak to było ze „Stylową“. Uważam, że łatwo można zebrać grupę entuzjastów, którzy pisnąć i grać będą za darmo. Ale lokal i kredyty zapewnić mogą tylko tzw. kompetentne czynniki. A one to właśnie do tej jory są jeszcze nie przekonane.

Jeśli klub ma powstać w oparciu o kawiarnię to realnym wyjściem jest obniżenie planu obrotu o ileś tam tysięcy złotych. Odpadnie wtedy potrzeba sprzedawania alkoholu pod jakąkolwiek postacią dla równowagi finansów. Ale można też od razu postawić pytanie: czy trzeba robić to wszystko w kawiarni? Można przecież zakrzępnąć się koło wolnej świetlicy, jakich na pewno nie brak. Dochodzą wówczas inne kłopoty, jak komplectowanie personelu, urządzenie wnętrza, meble etc.

Ciekawo uwagi zgłosił prektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, prof. Kurkiewicz:

— Młody pilot powinien startować jak najczęściej dla dobrego opanowania swej sztuki. Podobnie i młody artysta. Ja osobiste bardzo bym popierał pomysł takiej estrady młodych talentów. Szkoła zapewni naszym studentom wszystkiego cztery występy do roku, to stanowczo za mało. Na estradzie takiego klubu nasi młodzi koledyzy nie tylko by występowali. Szerzyliby też słabo rozwiniętą u naszej młodzieży kulturę muzyczną, prowadziliby dyskusje, uzyskiwali odbiorców swego talentu...

UWAGI KOŃCOWE CZYLI WEZWANIE DO CZYNU

Tyle ja. Sprawa rozwoju dla młodzieży nie była doprawdy dotąd pomijana ...w oficjalnych referatach i sprawozdaniach. No, ale wydaje mi się, że czas wziąć się poważnie do roboty. Sytuacja nie jest dobra.

Chętnych do pracy byłoby sporo. Chodzi więc o pierwszą pomoc w przedyskutowaniu programu, przydzielenie pomocy w postaci lokalu i niewielkiej ilości pieniędzy. Oraz zaufania. Sądzę, że w dyskusji, która się rozwinie — padnie niejedna cenna propozycja.

M ROSŁAW STECEWICZ

Kamienne kwiaty

Spoglądam z żalem
Na kamienne kwiaty
Wykute wprawna ręką
Zapomniał rzeźbiarz
Kwiaty kochamy
Tak mocno —
Bo jutro więdną.

WIESŁAW ZDANOWSKI

Spotkanie

Różne bywają spotkania. Miłe, mniej przyjemne, te, których unikamy. Są też spotkania — niespodzianki, spotkania wstrząsające, wywołujące szereg refleksji.

*

W lipcu 1943 roku skończyłem szesnaście lat i chroniąc się przed wywiezieniem na roboty uciekłem z miasta do małej wioski Horodyszcz, gdzie mieszkali znajomi chłopci. Tam poznałem ojca Nikifora, małego zasuszonego staruszkę, miejscowego popa — wyrocznię Horodyszcz i okolic, jak nieraz z ironią wyrażał się Jurek — syn gospodarzy, u których mieszkaliśmy i pracowałem. Okazało się, że funkcja popa była w Horodyszczu jak gdyby dziedziczna, gdyż i ojciec i dziad i pradziad Nikifora byli tu popami. Bliżej nie interesowałem się ojcem Nikiforem do chwili, gdy mój ujrzał siedzącego na ganku małego domku przy cerkwi z ogromną księgą przed sobą. Pochylił się, pracowicie pisał czy też młówał. Podszedłem i zacząłem rozmowę. Okazało się, że księga jest ewangelia, która w rodzinie Nikiforów przechodziła z ojca na syna i każdy z dziedziących ją wpisywał na tytułowej stronie ozdobione rysunkami swe imię. Ojciec Nikifor był czwartym z kolei.

Chwilę postałem przyglądając się i poszedłem z powrotem do pracy.

Było to już chyba pod koniec sierpnia, gdy do wioski przybiegł jeden z pasących krowy chłopaczek i zaalarmował wieś, że droga Niemcy prowadzą jakąś kolumnę ludzi. Ze wsi jakby wszystkich wymiotło. Schowaliśmy się z Jurkiem za płotem czekając na nadzieję kolumny. Za chwilę przez drogę przejechały dwa motocykle z karabinami maszynowymi skierowanymi na chaty. Kolumna wkroczyła do wioski.

Było to pozbierani z okolicznych wiosek i osad Żydzi, pędzeni na śmierć do ghetta rówieńskiego. Szli — widać było — ostatkiem siły, wychudli, niektórzy pokrwawieni. Widok był straszny. Z boków kolumny pokrzykując, czasem waląc kogoś kulą szli wlasowcy. Patrzyliśmy w milczeniu. Wioska była jak wymarła. Niespodziewanie Jurek mnie trącił. Spojrzałem zdziwiony. Drzwi od domku ojca Nikifora otwarły się i pop wyszedł na ganek przyglądając do piersi znaną mi już rodziną ewangelie. Stał tak na ganku patrząc na przesuwającą się kolumnę.

Nagle jeden z idących z boku wlasowców poderwał automat. Kuku-

nęła krótka seria. Przypadliśmy z Jurkiem do ziemi. Gdy wyrzliśmy kolumna już przeszła. Przed ganek leżał nieruchomo przyciskając książkę do piersi ojciec Nikifor,

Kilka dni temu będąc w wojewódzkim mieście K. zaszedłem do antykwiariatu zwabiony leżącymi na wystawie numerami „Skamandra“. Przeglądałem stos starych czasopism w nadziei, że znajdę jeszcze kilka numerów. Kierowniczką antykwiariatu stojąc przy małym stoliku rozmawiała ze starszym mężczyzną. Zacząłem się przysłuchiwać.

— Ciekawe z czego pochodzą te otwory. Jak pan myśli, profesorze?

Odpowiedzi nie było. Przeczekałem chwilę grzebiąc w czasopismach aż mężczyzna nazywany profesorem wyszedł i podszedłem do stolika. Leżała na nim oprawiona w cienkie deszczulki obciągnięta skórą gruba księga. Mniej więcej przez środek przebiegały jak trzy otwory z jednej strony gładkie, prawie idealnie okrągłe, z drugiej poszarpane. Odchyliłem okładkę i osłupiałem. Na tytułowej karcie zobaczyłem znajome, precyzyjnie wypisane imiona:

— Nikola, Aleksej, Fiodor, Nikifor.

Przed oczyma stanął mi upalny sierpniowy dzień 1943 roku. Otrząsnąłem się z wrażenia i delikatnie zamknąłem księgę. Kierowniczką antykwiariatu przyglądała mi się zdziwiona. Zapytałem kto książkę przyniósł i jaka jest jej cena. Nie potrafiła mi na pierwsze odpowiedzieć, gdyż jak mówiła pracuje tu dopiero od roku a gdy przyszła, książka już była. Nikt też przez ten czas nie przychodził się o nią dowiadywać.

— Widzi pan — mówiła — chciała ja kupić jedną z bibliotek uniwersyteckich, ale odmówili, gdy zobaczyli w jakim jest stanie. Podziurawiona, prawie połowa stron zalana czymś brązowym... Dlatego też nie jest taka droga, kosztuje tylko 100 złotych.

Potwierdziłem.

Tak, cena była niska.

OD REDAKCJI:

W numerze 32 PO PROSTU na skutek błędu drukarskiego uległ zniekształceniu fragment wiersza GRYGOLA ABASZYDZE pt. „TYGRYS I MERANI“. Fragment ten (2 strofka) powinien brzmieć: „Licznych herosów waleczność jak ciągły blask błyskawicy...“

NA początku było poczucie krzywy dy. Co dzień doświadczane, ja- trzące jak rana, przejmujące upoka- rzającym wystędem. Wszystkie jej oblicza pokazuje poezja chłopka, najczulszy sejsmograf cierpień u- jarzmionego ludu.

Zaczyna od opisu krzywdy, jakby sam opis cierpienia mógł przynieść cierpiącemu ulgę. Ale zaraz opis ten przybiera formę przestrogi, krzywdą własna traktowana jest jako do- świadczenie, przed którym chce się ostrzec drugiego człowieka. To waż- ny krok w ideowym rozwoju poezji. Krzywdą przestaje być doznaniem wyłącznie osobistym, uzyskuje wy- miar społeczny, jest doświadczana przez innych i innym zagraża, jak uniknąć zła, jak obronić się przed krzywdą. Jest tylko ostry, pełen bo- lesnej przestrogi okrzyk: „Nie poży- czaj u bogaczy!”, „Nie najmuj się u pana Lao!”

Bezwyjściowość sytuacji manife- stuje się retorycznym pytaniem, po- zbawionym adresata i nie oczeku- jącym odpowiedzi: „Kiedyż, ach kiedyż biednych przemina cierpie- nia?” Pytanie to dźwięczy w pustce, pod bezlitosnym niebem, jak po- twierdzenie groźnego i nieodwracal- nego losu, który człowiek zgotował człowiekowi...

Gdy przychodzisz do dziedzica

Gdy do dziedzica przychodzisz, dymi na stole garnek z zupą, olbrzymi. On zupę miesza i od słuskiej woni nagle się tobie w głowie zakręci, tak, jakbyś wino pił bez pamięci. Świeże ciasteczka kukurydzowe i jak powietrze leciutkie przy tym i chrupie pszenney placek, lamany rączką podbitą aksamitem. On nigdy biedy nie poczuje, w spiżarni sezam, sól, oliwa, miseczki swej nie wylizuje i fluszczy z paleczek jego splywa. Leż gdy zapytasz, kiedy plac, on splaca cię obelgą, drwiną, i myślę, że dla moich braci nielekki dzień, co tak przeminał.

POEZJA CHIŃSKA

Tłumaczył i opracował ANDRZEJ WIRTH

T'IENT CIA-ING

Jak daleko ulecać dzikie kaczk

W siedem dni po tysiąc li*) ulecać one, nieustraszone, dzikie kaczk. Nad tysiącami wzgórzami, nad dziesięcioma tysiącami szczytów i nie ma skrawka ziemi, który panom nie przynależy, aż do wyżynnych rubieży, hen, u stóp góry Szanlijen.

Proso, ryż, kukurydzy lany, cale zagarniają nam pola. Gdzie krew, gdzie pol przez nas wylany?

Czarna jest nasza dola. O, góry zielone jak nefryt, cynamonowe skały, rzekł srebrnym jaśniejąc w lecie! Czy w żadnym źródle kropili nie znajdziecie, w której by nasze lzy nie błyszczały?

*) Li — miara długości, około pół ki- lometra.

MIEDZY poezją zwątpienia i roz- paczy a poezją afirmacji, jest poezja protestu i walki, tak jak między odczłapania dawnej nędzy a dzisiejszym życiem jest trzydziesto- letnia walka ludu chińskiego o wol- ność narodową i społeczną. I nie może być inaczej w poezji, która krok w krok podąża ze swym lud- em, z nim do dna wypija gorzyc niewoli i z nim upaja się zwycię- stwem. Nie może być inaczej w poezji, która jest bronią ludu i ży- wym kształtem jego doświadczeń.

W wierszach pisanych na skalach i murach domów najbardziej bezpo- średnio doszedł do głosu duch pro- testu i walki. Wiersze te, dające po- czątek nowemu gatunkowi literac- kiemu i tworzone zrazu przez poe- tów, rozpowszechniają się szeroko wśród chłopów, robotników i zo- lniarzy, są ulubionym rodzajem ama- torską twórczości samorodnej. W rodzaju tym, zrodzonym z potrzeb

agitacji i walki, chińska poezja re- wolucyjna pokazuje najwyższą swą miarę.

T'IENT CIENT

Strzelba

I
Chciałbyś wiedzieć, ty psie, gdzie strzelbę i gdzie ukryłem pas z patronami? Nie zajmuj się tymi rzeczami! W ziemi grzebiez daremnie! Dowiedz się więc ode mnie: każdy z nas strzelbę i garść naboju zakopał w sercu swoim!

II
Jeżeli z walką będziemy zwyciężili, wróg w pień nas wytnie nie czekając chwili i nad naszymi stojąc kośćcami, powie: „Byli niewolnikami!”

T'IENT CIENT

Przyzywanie duchów

fragment XI pieśni eposu „Pieśń o wozie!”

Wzywać ducha, mój Boże, bywa dobrze lub źle, bo czasem duch pomoże, a czasem nie. Wierzyłam na przykład w ducha zła światła, a on natychmiast ku gwiazdom wzłata. Wierzyłam, że zawsze jest blisko człowieka — już się przed tobą w kształt przeobraża. Dziś partia, jak wiecie, partia ludziom pomaga. Lecz — chcesz być człowiekiem, w porę musisz przede sam pomóc sobie, jakbyś sam był na świecie.

T'IENT CIENT

Pieśni ochotnika

Pieśń o wielkiej górze

Rękami chwyć się skały! Uważaj, nie zrafi dloni! Musisz ocalić ręce, aby sprostały bronii, Na drodze naszej wyrasta szczyt Pajjünshan wysoki — „Białe obłoki!”

Cóż nam po nazwie góry? Przyjaciółom na pomoc spleśmy, Rozkaz ojczyzny, serca poryw, przez góry nas wiodą — olbrzymi!

I po cóż wiedzieć, gdzie grozi lawina sroga? Góro! Myśmy weszli na ciebie, żeby runąć na wroga!

A gdy do Chin ruszymy, zwyciężić zwycięskie czyny, może się wtedy odsłoni dla oka twych zboczy straszna stromizna, Góro, jakżeś wysoka!

W TOKU reformy rolnej prze- prowadzonej w Chinach o- trzymało ziemię 330 milionów chłopów. O życiu różnych warstw tego półproletariatu wiejskiego przed rewolucją mówi Mao Tse- tung: „...własnego zbroja starca imi zwykle w przybliżeniu tylko na pół roku i dla uzyskania dodatko- wych środków zmuszeni są brać ponadto w dzierżawę cudzą ziemię lub częściowo sprzedawać swoją siłę roboczą... Pod koniec wiosny i z początkiem lata zmuszeni są pożyczać pieniądze na lichwiarskie procenty i kupować żywność po wysokich cenach... Uprawiają cu- dzą ziemię, otrzymując za swoją pracę zaledwie połowę plonów... Żyjąc w ciężkich warunkach mate- rialnych myślą tylko o tym, jak prze- trwać do nowych zbiorów... Nie po- siadają ani wystarczającego inwen- tarza rolniczego, ani środków pie- niężnych, brak im nawozów, zbie- rają skąpe plony, a po uiszczeniu opłat dzierżawnych nie im prawie nie zostaje... W latach głodu i w ciężkich miesiącach wypraszaają od swoich krewnych i przyjaciół w formie pożyczki po kilka miar zbo- ża, żeby przetrwać chociażby cze- ry — pięć dni; ich długi wciąż rosną i stają się ciężarem nie do zniesienia!”

330 milionów takich ludzi otrzymało ziemię w Chinach.

*) Mao Tse-tung. Dzieła wybrane, t. 1, Książka i Wiedza 1953, str. 18.

TU AN

Pieśń wyzwolonych chłopów

Ta ziemia do nas niegdyś należała, dziś wraca znowu w chłopskie władanie i będą po niej chodzić nasze dzieci, i ziarno z rąk ich na ziemię poleci, tu szczęście, proso i ryż zbiorą na niej.

Chłop co dzień rolę pielęgnować może, dla siebie i ludu uprawia dziś zboże.

Patrzele, mój pot jeszcze piasek nasyci, co dzień me stopy calowały ziemię, kiedy krwawiła w mocy dziedzica. Serce me w bruzdach biegnących polami, dziś jestem łaską, gdzie wół mój popasa, dziś jestem ziarnem dojrzałym, kielkami, szumiącym łanem, sięgającym pasa. Dziś jestem stróżem pola, jego piewca, rolę, co żółci się wciąć i zieleni, sklepiłym błękitem, co dotyka ziemi.

PRZED czterema wiekami nie- miecki myśliciel, Jakub Böhme, pisał:

„I gdyby góry były papierem i jeziora atramentem, a wszystkie drzewa piórami, jeszcze by nie starczyło, aby opisać krzywdę, któ- ra jest na świecie!”

Sluszenie zauważono, że wiersz

*

Oto ostatni śmieje się biedny. Lecz jakże wyrazi on swoją wdzięczność Mao czu-si*) i Komunistycznej Partii? Gdyby pedzelkiem było każde drzewo, gdyby łusz wypełniał wszystkie stawy i gdyby wszyscy chłopci umieli pisać — wierzę mi, ledwie by im starczyło na wielki dziękczynny list.

Mao Czu-si — Przewodniczący Mao.

Fragment z książki Andrzeja Wirtha „Wiersze na kolbach”. Któr- ta ukaże się wkrótce nakładem Wyd. MON.

Rzeczy teatralne

List z prowincji

STEFANIA BŁOŃSKA

Rok temu SPATIF zorganizował kursy samokształ- ceniowe: „samo” — to znaczy ludzie teatru ludziom teatru. Byłam na jednym dniu wykładów. Prowadził je Stefan Treugutt. Mowa była o re- pertuarze w związku z „rokiem ro- mantyzmu” (dziś mówi się już „Rok Mickiewiczowski”). Pomijając to, że na tych wykładach byli tylko ludzie z „terenu” („...my z Warszawy — mamy takie możliwości, że nie po- trzebujemy...”), ton wykładu był obrażający dla nas, młodych aktorów z prowincji. Mówiło się o „Dziadach” „Kordianie”, „Nieboskiej” w tonie: „oczywiście Warszawa, ewentualnie może Kraków”, a dosłownie tak „zro- zumiałe jest, że teatry terenowe nie mogą porównać się”, „teatry tereno- we też będą mogły sięgać do skar- bnicy romantyzmu(!), oczywiście jednak nie do tych dzieł najwięks- zych”.

Nie neguję nawet słuszności myśli zawartych w tych zdaniach, obraża mnie forma, bezapelacyjność. Co wart jest aktor, który nie marzy o Hamlecie, Kordianie, Konradzie, aktorka, której ambicją nie jest Ofelia, Rollisonowa, Lady Macbeth — a jeśli wiem, że rolę, która jest moim marzeniem, można grać tylko w Warszawie, automatycznie traktu- je prowincję jako zło konieczne, teatr prowincjonalny jako warsztat kiepskiego szewca, który ma prawo latać, ale któremu nie powierzy się wykonania pięknych pantofelków ze złotej lamy.

Wyjechałam wtedy z Warszawy jako wróg aktorów, reżyserów, pro- fesorów, recenzentów i działaczy teatralnych warszawskich — ale re- czę, że 9/10 słuchaczy, którzy w ogóle mieliśmy, postanowiło za wszelką cenę wyrwać się z prowincji. Bo przecież to brak perspektyw. „Prawdziwym bodźcem ludzkiego życia jest radość, która nas oczekuje”. Gdzie? To nie jest tylko sprawa aktorów. Chyba widz prowincjonalny ma prawo o- glądać „Hamleta” czy „Dziady” nie tylko w Warszawie?

Macie w Warszawie teatry, macie aktorów, macie reżyserów — akto- rów i reżyserów, którym wszystko wolno, teatry o wielkich możliwo- ściach, możecie — tak, możecie marzyć nawet o scenie eksperymentalnej, wolno wam wszystko, wszystko jest dla was — a my, prowincja, mamy plan: plan „przepustowości”, plan finansowy, plan objazdowy, plan spektakli.

My przygotowujemy sztukę w mie- ście do sześciu tygodni, jeżdżymy z nią po zimnych salach miast po-

wiatowych i nie tylko powiatowych, w zimnych autobusach. Ma ona mieć wydźwięk, ma być tania, mało obsa- dowa, wesola itp. I nie wolno nam myśleć o wielkich sztukach, nie wol- no nam mieć ambicji. No i wreszcie pewnego dnia dostaje któraś z nas rolę w Sztuce — i gra. Nie wie czy gra dobrze, bo nie mamy nawet skali porównawczej — my tych wa- szych stołecznych cudów nie oglą- damy, bo aktorzy zniżek kolejowych nie mają — i nie widzi naszej pracy nikt kto potrafiłby powiedzieć czy to jest dobrze — bo poważni, dobrzy mądzy recenzenci warszawscy nie przyjadą przecież do Kielc czy (mon Dieu!) Zielonej Góry aby to oglądać.

Po prostu — nie mamy równego startu. Poziom teatrów warszawskich jest różny, są rzeczy dobre i słabe, są dobrzy i słabi aktorzy i reżyserzy — ale po pierwsze — im wszystkim wolno, a po drugie — jeśli im się uda — wygrywają. My nie wygry- wamy. Bo na tym polega przecież nasz zawód, zawód, w którym chęć usłyszenia pochwały jest dominują- cą podniecią. Z naszej pracy po roku nic nie zostaje: napiszesz książkę, namalujesz obraz, zrobisz but i jest — konkretnie, można wziąć w rękę. — Zagrasz rolę i idziesz spać — widz stanowi o wartości twojej pracy i nigdy się nie dowiesz na dodatek jaka była ocena i co odczuł ten widz. Próbowujemy coś zmienić, pró- bujemy pokazać naszą pracę, chcie- libyśmy usłyszeć poważne oceny. Staramy się ułatwić pracę krytykom i recenzentom.

Dyrektor Teatru Ziemi Lubus-kiej, Zbigniew Koczanowicz, wpro- wadził w swoim teatrze innowację która ma związek z tymi sprawami — tzw. festiwal — co pół roku przegląd repertuaru, codziennie inna sztuka, pokaz tego co zrobiono w ostatnim półroczu.

Festiwal ułatwia ogromnie zada- nie krytykom teatralnym z prasy centralnej: Łatwiej pojechać na „glu- cha prowincję” jeden raz na przeciąg 5 dni niż 5 razy po jednym dniu, prawda? Dlatego ucieszył mnie ten pomysł — może nareszcie doczeka- my się realizacji zadań kół tereno- wych SPATIF-u: przyjazdu kryty-ków z Warszawy na spektakle te- atrów prowincjonalnych.

PS. Zielona Góra grywa normalnie w piątki, soboty i niedziele. Ostatni festiwal ściągnął publiczność na czas od poniedziałku do piątku włącznie: prawie komplety. Nato- miast nie ściągnął gości: przyjechał jeden (!) recenzent poznański — Leszek Prorok — na dwa dni festi- walu. Teatr zaprosił wszystkie po- ważniejsze pisma w Polsce. Ano coś — jesteśmy „prowincją”.

Dziwny podział nagród na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki

Komisja Nagród powołana przez II Zjazd Młodych Plastyków przyznała na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki w warszawskim Arsenale — 41 równo- rzędnych nagród w wysokości po 2500 zł. Nagrodzeni zostali:

W dziedzinie malarstwa:

Izaak Celnikier, Warszawa — za obraz „Getto”, Waldemar Cwienarski, Wrocław — za całość wystawionych prac, Zofia Dębowska-Tarasin, Kraków — za prace malarskie i graficzne, Tadeusz Dominik, Warszawa — za obraz „Macierzyństwo”, Jan Dziędziora, Warszawa — za obraz „Martwa natura z pietruszkami”, Stefan Gierowski, Warszawa — za obraz „Mart- wa natura”, Tomasz Gieb, Warszawa — za obraz „Pomimo wszystko — kogut”, Barbara Jonscher, Warszawa — za ma- larstwo i rysunki, Maciej Lachur, Stali- nogród — za obraz „Chłopiec z getta”, Jan Lebensztejn, Warszawa — za całość prac, Jadwiga Madejska-Wojciechowska,

Warszawa — za obraz „Krajobraz”, Krze- ślawa Maliszewska, Wrocław — za obraz „Chłop z zabawkami”, Alfons Mazur- kiewicz, Wrocław — za obraz „Zi- ma w Kości Górach” i za ry- sunki, Teresa Mellerowicz-Gella, War- szawa — za obraz „Warszawskie gołę- bie”, Stanisław Michałowski, Gdańsk — za obraz „Rybaczówka w Bogaczowie”, Gabriela Obremba, Warszawa — za ca- łość prac, Włodzimierz Panas, Warszawa — za całość prac, Teresa Pagowska, Gdańsk — za całość prac, Jacek Sepoliń- ski, Warszawa — za obraz „Martwa na- tura z zegarem”, Andrzej Strumillo, Łódź — za obraz „Portret podwójny”, Roman Usarewicz, Gdańsk — za obraz „Party- zanci — rok 1943”.

W dziedzinie rzeźby:

Kazimierz Fajkosz, Warszawa — za ce- ramikę „Dzieci świata”, Helena i Roman Hussarscy, Kraków — za ceramikę „Ak- torka”. Jerzy Jarnuszkiewicz, Warszawa

za rzeźbę „Myjąca włosy”, Edward Ko- nusz, Kraków — za rzeźbę „Portret”, Antoni Kostrzewa, Kraków — za rzeźbę „Zołnierzy pokoju”, Adam Smolana, Gdańsk — za rzeźbę „Kenia”, Józef Sta- ślaski, Poznań — za rzeźbę, „Ochroń mnie”, Magdalena Więcek, Warszawa — za rzeźbę „Matka”.

W dziedzinie grafiki:

Walerian Borowczyk, Warszawa — za litografię „Krajobraz zimy z Krako- wa”, Mieczysław Hoffman, Wrocław — za monotypie „Cyryl”, Katarzyna Latalo, Warszawa — za prace z cyklu „Nie ma potopu”, Jan Lenica, Warszawa — za prace z cyklu „Nasz wiek XX”, Jadwiga Lisiska, Kraków — za prace z cyklu „Ruch rewolucyjny w Polsce”, Wiesław Majchrzak, Warszawa, za akwafortę „Ładowanie na barki”, Lucjan Mianow- ski, Kraków — za litografię „Atak lot- niczy” i „Warszawa płonie”, Tadeusz Mi- lewski, Warszawa — za prace z cyklu

„Warszawa”, Maria Obremba, Stali- nogród — za prace z cyklu „Pałac Młodzie- ży w Stalino” i „Rodzina”, Jerzy Panek, KRa- ków — za drzeworyty, Jan Tarasin KRa- ków — za prace z cyklu „Dom”, Jerzy Tchórzewski, Warszawa — za monotypie.

Tak więc Marek Oberländer nie dostał nagrody za „Napiętnowa- nych”. Zadecydowali o tym m. in. Bartłomiej Kurka, który w Arse- nale prezentował nam trzy wi- szące kukły oraz Lech Kunka, autor jarmarcznej „Karolinki” ze sreber- kami w uszach. Posiedzeniu jury przewodniczył Janusz Bogucki. Dla kogoś, kto zna twórczość krytyczną Janusza Boguckiego — nazwisko je- go ma tutaj dużą wymowę.

Wstrząsający obraz Oberländera uznano za niemalarski, za „szantaż moralny” w stosunku do widza a nie artystyczny obraz świata. Fał- szem byłoby twierdzić, że mamy tu do czynienia z dziełem malarsko doskonałym, ale czemu nikt z członków jury nie próbował zasto- nowić się d l a c z e g o t o pło- tno, zawierające tylko „trzy jedna- kowo okrągłe głowy, i zasmarowane czarną mazią” — wstrząsa, d l a c z e g o, mówi nam tyle o lu- dziach niezłamanych okrucieństwem i nienawiścią. Nikt nie zastanowił się nad smakiem gorzkiej metafory krwawych gwiazd na czołach tych trzech ludzi.

Niemalarskie... A cóż u licha ma- larskiego znaleziono w nagrodzo- nym „Portrecie podwójnym” Stru- millty, obrazie rozgadany i fałszy- wym aż do zgrzytu?

Odczłowieczeni przez Bartłomieja Kurkę wisieliści nie budzą w nikim żadnych uczuć prócz niesmaku. Czemu obraz Oberländera działa inaczej? Czy to aby nie jest zastuga m a l a r z a?

Z wątpliwych, niejasnych czy zgola niezrozumiałych decyzji jury nagród wybraliśmy jeden, najja- skrawszy przykład. Przykład uka- zujący jakie skutki następują, gdy komisja nagród składa się z osób nie tylko zupełnie innych, ale także kierujących się całkowicie odmi- enymi kryteriami oceny niż komisja przyjmująca prace na wystawę.

RYNEK W BYTOWIE



rys. Jan Karczewski

C hce napisać o paru rysunkach. Wybrałem je spośród całego szeregu szkiców, nad którymi ostatnio pracowałem.

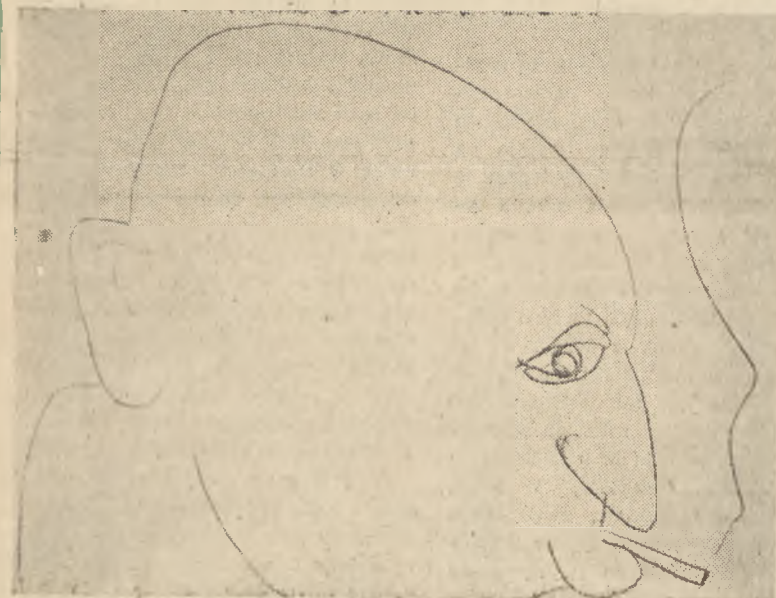
Kawiarnia interesuje mnie od dawna. Kawiarnia ma swój własny nastrój, więcej — posiada swoją własną plastyczną filozofię. Filozofia ta jest najbardziej realistyczna i zarazem na wskroś abstrakcyjna. Jakkolwiek rysunkom, o których mówię, daleko jeszcze do doskonałości, jednak uznaniem za wskazane pokazać je, aby uplastycznić widzowi nieograniczone możliwości poszukiwań w sztuce.

W trakcie pracy nad jednym zagadnieniem (w moim wypadku zagadnieniem kawiarni) rodzi się cały szereg koncepcji. Sposób widzenia świata przez artystę może się zmieniać. Następnie tu coś w rodzaju ewolucji jego plastycznych pojęć formy. Z przedmiotowego widzenia świata może malarz wyjść do jak najdalej posuniętej abstrakcji.

Pracując nad swoją kawiarnią, a początku rysowałem ją bardzo przedmiotowo. Potem zacząłem iść na pewną ekspresję formy, w końcu doszedłem do abstrakcji. Z początku rysowałem pojedyncze głowy. Zastanawiałam się różnorodność ich form, które stwarzały w sumie to, co nazywałbym rytmem kawiarni. Rysowałem człowieka z papierosem, który miał głowę w kształcie jaja i który nie wiedział, że mój ołówek wziął go pod ostrzał. Studiowałem ruch, rysując podparte lub gestykulujące postacie. Zatrzymałem na papierze ruch lepiej lub gorzej i wciąć nie byłam z rezultatu swoich prac zadowolony. W teście gromadziło się coraz więcej nosów, rąk i innych wiernie wymodelowanych szczegółów, które jednak w sumie nie dawały pojęcia o kawiarni.

W końcu doszedłem do następującego wniosku: aby dać prawdziwą syntezę tego, co się dzieje w kawiarni, muszę wyzbyć się nadmiernej przedmiotowości. Rozprasza ona uwagę widza i nie pozwala mu ujrzeć całości kompozycji.

Powiedziałem sobie, że nie wolno patrzeć na twarze ludzi siedzących w kawiarni jako na nosy, usta, oczy. Ludzie to różne przeciwstawiające się formy. Jednego człowieka widziałem jak trójkąt, drugi był elipsą, trzeci kwadratem. Kobieta siedząca parę metrów ode mnie w zielonym fotelu wyglądała jak wydłużona faszka, a stół wraz z czymiś nogami przypominał swoją formą okrągłego prosiaka, którego okiem była biała filiżanka.



II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie

(Dokończenie ze str. 1)

sądzimy o „Poemacie dla dorosłych”, „Pracowałam jako junaczka w Nowej Hucie — to świństwo pisać w ten sposób o robotnikach”. Z uznaniem natomiast wyraża się o felietonie Bocheńskiego. „Ma rację. To co napisał na temat przerwy w moralistom się nie podoba, ale jest życiowe”. Potem znowu pada grad pytań „Dlaczego brakuje masła?”, „Czy to prawda, że Pałac Kultury i Nauki jest brzydki? Bo na zdjęciu bardzo mi się podoba”. „I jeszcze jedno, — gdy ostatnio byłem na wsł, mówiono, że kulak będzie my chronić, bez kulaków zabrakłoby nam zboża. Czy to możliwe?” Gorąca dyskusja zostaje przerywana. Za pół godziny zebranie koła. Nasza rozmówczyna nie radzi nam na nie chodzić. „Będzie nudno. Niczego nowego tam się nie dowiedziecie”.

Zebranie będzie nudne... To mówi ta sama dziewczyna, która zasympywała nas pytaniami, miała mnóstwo wątpliwości, do upadłego spierała się o „Poemat” Ważyka. Niestety, matematyka miała rację. Zebranie było nudne...

Takich nudnych zebrzań widzieliśmy więcej. Dla przykładu na I. r. wydz. elektrycznego Politechniki Gdańskiej dyskusja skupiała się nad dwoma punktami. Czy szorowanie podłóg niszczy parkiet (studenci sami musieli sprzątać w DS) i co zrobić, żeby asystent z fizyki nie zapisywał w notiesie, jak go się pyta o niezrozumiałe partie materiału.

W czasie zebrania grupy „I” III r. Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Częstochowie co chwila zapadało żenujące milczenie. Koleżanka — organizator grupy — smutnie nawoływała „mówcie coś”. Przypominała nam się wtedy żarliwa dyskusja z „naszą” matematyką. Jakże daleko odbiegła treść tych zebrzań od rzeczywistych, życiowych problemów. Jak ubogie były one w porównaniu z tą przypadkową przecież, krótką rozmową.

Pierwszy miesiąc pracy — to tylko start. Start w tym roku na pewno nieudany. Co bowiem dały dotychczasowe poczynania organizacji studentom? Dał nam na to szczerą odpowiedź jeden z aktywistów krakowskich. „Nie. Najwyżej nauczyliśmy pierwszoroczniaków jak „delikatnie” łamać demokrację wewnątrzgrupową, bo przecież musieliśmy dokonać wyboru władz, a oni się zupełnie nie znali. Myśmisi znali przynajmniej ankiety”.

Odpowiedzi na to pytanie szukaliśmy w wielu rozmowach z aktywistami, w układanych obecnie przez Zarząd Wojewódzkiej i Zarządy Uczelniane koncepcjach pracy.

Niestety, mimo że zapoznaliśmy się z pokąźną ilością tych koncepcji (nie wyłączając koncepcji Wydz. Studenckiego ZG ZMP, wyrażonej

w referacie tow. Niewoły wygłoszonym na naradzie aktywu studenckiego 4. X. br.) nie znaleźliśmy ani jednej, która by określała, co będzie głównym celem pracy organizacji w tym roku akademickim, która by wyrażała choć wględnie jasno treść ideologiczną i polityczną licznych przewidywanych posunięć organizacyjnych.

Plan Politechniki Wrocławskiej wysuwa np. 3 centralne zagadnienia — umocnienie dyscypliny studiów, szkolenie (bez określonego kierunku, celu, któremu ma ono służyć) oraz informację polityczną. Towarzysze z Politechniki opierali się w swych założeniach na planie ZW ZMP. Oto wyjątki z niego:

„Jako główny cel pracy organizacji ZMP na wyższych uczelniach stawiamy: podniesienie poziomu i treści pracy polityczno — wychowawczej oraz wdrożenie studentów do samodzielnego „studiowania”. Przecież naprawdę nie wiadomo o co tu chodzi. A jednak tak właśnie formułuje swoje podstawowe zadanie w pracy ze studentami ZW ZMP we Wrocławiu. A co dalej? „Organizować odczyty...”, „propagować czytelniczo...”, „pogłębiać pracę z młodzieżą niezorganizowaną...”, „rozwinąć pracę kulturalną...”

Komu i czemu ma to wszystko służyć?

Uderza w znanych nam z kilku ośrodków planach, w przeprowadzonych z wieloma aktywistami rozmowach zupełnie niewiedzenie konkretnego studenta, głęboki brak oceny sytuacji politycznej i ideologicznej na danej uczelni.

Wymieniony — jako przykład — plan towarzyszy z Wrocławia (składający ofiarnych i na pewno mądrych aktywistów) można by, usuwając powtarzające się tam czasami słowo „Festiwal”, wziąć za plan sprzed czterech, trzech, czy dwóch lat. Nasuwa się pytanie: czy młodzież przychodząca obecnie na uczelnie też się od czterech lat nie zmienia? Czy płaszczyzna walki ideologicznej jest zupełnie taka sama? O jakim głównym kierunku ideologicznego natarcia jest mowa w tej koncepcji?

Zastanawialiśmy się — może to tylko nieumiejętność sformułowań, może twórcy planów wiedzą co będą robić, a tylko nie potrafili przełożyć tego na papier?

Szereg rozmów rozwił te przypuszczenia. Przewodniczący ZU ZMP przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, tow. Dąbrowski, miał najpełniejszą i najciekawszą ze znanych nam koncepcji pracy. Ale i on nie potrafił określić, co w bieżącym roku akademickim będzie podstawa w treści pracy ideologicznej, z jakimi konkretnymi cechami mentalności studenckiej chce walczyć, jakiemu realnemu celowi mają służyć projektowane przez niego zebrania, odczyty, spotkania.

Rutyna, szablon i sloganierstwo

organizowanie dla organizowania, lub zwątpienie, zniechęcenie i przerażająca beznadzieja — oto z czym spotkaliśmy się u b. wielu aktywistów.

A podstaw tego szukać musimy w poważnej i d e o l o g i c z n e j słabości naszego aktywu. Zbyt często jeszcze cechuje ich nieznajomość marksizmu — leninizmu, problemów kultury, aktualnych sporów filozoficznych, politycznych i kulturalnych.

Treść dotychczasowej pracy i przyszłych zamierzeń rozwinęła się zasadniczo z nurtem życia młodzieży, biegnie jakimś swoim torem, ku nieokreślonym bliżej celom i zadaniom. I nie mogło być inaczej.

Podstawowe hasło II Zjazdu ZMP — oprócz się na inicjatywie młodzieży, na jej potrzebach i zainteresowaniach budować pracę organizacyjną — całkowicie pominięto, wyrzucono do lamusa. Przez pół roku inicjatywy jakoś nie było — a więc trzeba po staremu narzucić to, co sami uważamy za stosowne. Młodzież jest bierna, mało żarliwa, a więc trzeba „przykręcić śrubę”. Że to nie młodzieży nie daje? Tym gorzej dla niej!

Całe rozminięcie się obecnej pracy z tym, czego chce młodzież i co jej jest potrzebne wynika z zupełnego braku politycznej i ideologicznej oceny sytuacji na uczelni. Aktyw nie zna młodzieży, nie dostrzega zachodzących w niej zmian, nie próbuje nawet zastanowić się nad taką oceną sytuacji. A zmiany zachodzące w młodzieży są niezmiernie poważne. Co gorzej — aktyw nie wyciąga wniosków z dotychczasowej pracy wychowawczej organizacji. Czy jest taki Zarząd Uczelniany, który by dokonał poważnej oceny pracy absolwentów, zastanowił się nad ich postawą polityczną i ideologiczną, próbował na tej podstawie wyciągnąć wnioski dla swojej koncepcji pracy?

Faktyczne pominięcie Festiwalu w pracy zetempowskiej (formalnie „przeniesienie Festiwalu” znajdziecie w każdym planie, ale najczęściej ogranicza się ono do opowiedzenia o wizualnej stronie tego wydarzenia i jednego głębszego wniosku — zwrócić uwagę na naukę języku — obcych), niedostrzeganie wpływu, jaki na studentów wywiera t. zw. „odwilżowa” sytuacja wśród pewnej części inteligencji — to tylko dalsze konsekwencje uprzedzonego pomijania młodzieży w treści pracy ZMP na wyższych uczelniach.

Wahania ideologiczne wśród pewnej części inteligencji i młodzieży studenckiej po III Plenum, oraz niezrozumienie przemian na arenie międzynarodowej spotły się jak najcięższe z rozterkami pozajądowego okresu.

A rozterki te — to już przyszłowie „kłopoty lojalisty”. Aktywi-

ści wyczuwają, że zabawy i tylko zabawy — nie dadzą rezultatów. Polityka i tylko polityka — również nie. W którą stronę przekreślić korbkę? Wiemy, że podobna sytuacja istniała wśród wielu instruktorów ZG.

Ostatecznie machnięto ręką, odgrzebano z biurek plany pracy sprzed paru lat — terminy pality — i sporządzono takie twory, jakie przedstawiliśmy.

W tej sytuacji trzeba mieć poważną pretensję do towarzyszy z Wydziału Studenckiego ZG ZMP. Ich pomoc dla aktywu uczelnianego jest zupełnie iluzoryczna. Świadczy o tym wspomniana wyżej narada, (tow. Jankowski, członek Prezydium ZG ZMP, podsumowując obrady skrytykował referat za brak koncepcji, sam jednak prócz kilku znanych prawd nie potrafił dać żadnego pozytywnego programu, świadczy nawet taki drobny fakt: zła, powierzchowna, bez żadnej treści koncepcja pracy środowiska wrocławskiego została w zasadzie zaakceptowana przez tow. Drożdż, instruktora ZG. Dziwny też jest fakt, że szereg pracowników ZG ZMP (nie wyłączając członków Prezydium) wyraża się niepocholebnie o pracy Wydziału Studenckiego, a jednocześnie toleruje istniejącą tam sytuację personalną i nie udziela temu wydziałowi żadnej poważniejszej pomocy. Np. tow. Goldberg, również członek Prezydium ZG ZMP, niewiele pomógł uczestnikom narady swym wystąpieniem, w którym po lekceważących uwagach na temat Wydz. Studenckiego, zdobył się na dwa zdanka samokrytyki tej mniejwięcej treści: my też za mało interesowaliśmy się studentami.

Aktywiści zetempowscy na uczelniach nie otrzymują również pomocy i z innej strony — od Komitetów Partyjnych i kadry nauczającej. Charakterystyczna jest wypowiedź sekretarza Komitetu Partyjnego jednej z największych uczelni w Polsce. Stwierdził on, że właściwie nie wie o ZMP na swojej uczelni, ale wyczuwa, że jest bardzo źle. Możliwość polepszenia pracy widzi dopiero po usunięciu jednej trzeciej członków organizacji.

Nie jest to niestety wypadek losobny. Sprawdzaniem pracy ZMP są dla bardzo wielu egzekutyw i dla wielu profesorów frekwencja na masówkach, a w najłepszym wypadku oceny z egzaminów.

*

Pokazaliśmy tu, celowo zagaśzczając ciemne barwy, najistotniejsze braki w naszych organizacjach uczelnianych. Po to, aby udowodnić, że najogólniej rzecz biorąc — zaprzeczamy ogromny dorobek ideowy i organizacyjny II Zjazdu.

To prawda, że młodzi wychowankowie naszych uczelni budują doskonale samoloty odrzutowe, statki i domy. To grupa zapalonych młodzieży pod kierunkiem doświadczonych profesorów zbudowała pierwszy w Polsce Analizator Równań Różniczkowych — mózg elektronowy. Że młodzi inżynierowie budują fabryki o pełnym procesie automatyzacji — fabryki nowej ery. Że młodzi lekarze w kurpiowskich wsiach są nie tylko upartymi bojuownikami — tak, trzeba użyć tego mocnego słowa — o zdrowie, ale o umysły i serca zafocanych jeszcze często chłopów. Że młodzi zdolni, pełną zapalą i ideową spotykamy na każdym bez wyjątku odcinku naszego życia.

My młodzi mamy zbudować w Polsce komunizm i my go zbudujemy. Ale właśnie dlatego trzeba głono wolać, że nasze zetempowskie organizacje uczelniane nie są, poza nielicznymi wyjątkami, komórkami, które wychowywałyby młodzież na miarę wielkości epoki, a mogą i muszą sprostać temu zadaniu.

I właśnie dlatego, że mamy dobrą, ideową i pełną zapalą młodzież, i że mamy niestety zbyt wielu jeszcze ludzi n i e r o z b u d z o n y c h, ni jakich, takich, o których mówimy w swym artykule, którzy nie zdołali wyrwać się z trującej atmosfery zaoferowanego czy drobniomieszczańskiego środowiska, że naszym zadaniem jest gorąco, żywo pomagać tej pierwszej i niemniej gorąco i żywo oddziaływać na drugą, by rozwiała szeregi — musimy bić na alarm: źle i nieudolnie pracujemy.

LUDZIE BEZMIESZKANIOWEGO JUTRA

(Dokończenie ze str. 1)

rzecz aż tak zdumiewająca, że profesor, docent lub asystent chce obejrzeć jedno czy drugie dobre przedstawienie?

Ten i cały szereg innych faktów poucza nas, że Uniwersytet, tę ogromną „fabrykę” zatrudniającą przeszło 1500 pracowników, często traktuje się znacznie gorzej od jakiegokolwiek zakładu produkcyjnego. Bowiem w oczach niektórych „czynników” produkcja to tylko to, co się da wciągnąć do ręki. Ludzie tacy nie widzą wreszcie, że Uniwersytet jest żywą kuznią nauki, ogniskiem kultury humanistycznej, której nam potrosze w naszym życiu brakuje.

Już w tej chwili mamy sobie wiele do zarzucenia jeśli chodzi o fachowy i ideologiczny poziom absolwentów, którzy opuścili mury warszawskiej Alma Mater. A czyż czynnik, o których mówi się w tym artykule, są w tym wypadku bez znaczenia? Wydaje się zresztą, że wspomniane wyżej zjawisko niewłaściwego stosunku do Uniwersytetu nie występuje tylko przy tej jednej uczelni. Można by je zapewne rozciągnąć i na inne szkoły wyższe.

Uniwersytet nasz żyje życiem coraz intensywniejszym. W ostatnich latach powstał cały szereg nowych

katedr (np. marksizmu-leninizmu) i wydziałów (np. ekonomii politycznej), rozbudował się wydział filozofii, pedagogiki, dziennikarski, geologii, chemii jądrowej itd. itd. Rosnie ogromny, skomplikowany i niesłychanie cenny — bo żywy — aparat Uniwersytetu. Niestety, nie rośnie tylko zaspokojenie jego lokalowych potrzeb.

O PRZYSZŁOŚĆ NAUKI POLSKIEJ

Teoria (o dobra teorii!) wyrokuje, że każdy pracownik naukowy powinien mieć własny tzw. gabinet, to znaczy pokój, przeznaczony do pracy. Nie domagamy się jednak luksusów, chcemy otrzymać swój ustawowy metraż, tak jak inni — jak robotnik z Żerania i pracownik MON czy urzędnik rady narodowej. Słowem — j a k k a ż d y p r a c u j ą c y c z ł o w i e k. Chcemy go otrzymać tym bardziej, że dla nas to nie tylko problem dachu nad głową, lecz również sprawa warsztatu pracy.

Obecna sytuacja mieszkaniowa odbija się poważnie na pracy naukowej i można zaryzykować śmiało twierdzenie, że wysilek tych, którzy żyją w ciężkich warunkach mieszkaniowych, idzie na pewno w 50 pro-

centach na marne. Księgozbiory prywatne pracowników naukowych, nieraz większe nieraz mniejsze, ale przecież niezbędne do podjętego użytku, tulają się w paczkach po strychach, piwnicach znajomych i krewnych. To jedna ze spraw może najbardziej raniących ludzi, którzy kochają książki. I nie ostatnie to bynajmniej ze zmartwień, wpływających z trudności mieszkaniowych. Sytuacja jest, nie ukrywajmy tego, ciężka. Przy obecnym tempie przydziału mieszkań rozwiążemy najwcześniej za 10 lat już istniejące potrzeby, nie licząc potrzeb narastających. Powiedzmy jasno: dotychczasowy system przydziałów nie wystarcza nawet na przyszłowie otarcie łez.

Trzeba w trosce o dalszy rozwój Uniwersytetu, o wzrost jakości nauczania i pracy naukowej poszukać innego rozwiązania. I trzeba to zrobić możliwie najszybciej. Odwracanie głowy od sytuacji mieszkaniowej Uniwersytetu pogłębia tylko z każdą chwilą istniejące trudności. Każda chwila przynosi straty w postaci niewykorzystanych możliwości ludzkich. Rozwiązanie tej sytuacji to nie tylko problem poprawienia warunków życia jednostki, to także problem przysięcia z pomocą rozwijającej się nauce polskiej.

